

WANDALIN CZERNIK

PAMIĘTNIKI
WETERANA

1864 r.



DRUK JÓZEFA ZAWADZKIEGO W WILNIE.

1914.

30

PAMIĘTNIKI WETERANA.



Wandalin Czernik Kazań 1864 r.



Wandalin Czernik 1912 r.

WANDALIN CZERNIK

PAMIĘTNIKI WETERANA

1864 r.



DRUK JÓZEFA ZAWADZKIEGO W WILNIE.

1914.

V-134/02

WANDALIN CZERNIK

PAMIĘTNIKI
WETERANA

Hh



132422



PRZEDMOWA.

Niejednokrotnie zdarzało się nam czytać w pismach periodycznych, jakoteż w specjalnych wydaniach, pamiętniki polskich wygnańców, pisane z pewnym talentem, często nawet owiane poezją, przyczem niezmiernie ciekawe (Sieroszewski, Jagmin i in.), — obejmowały one jednak zwykle tylko pewne epizody, natomiast prawie nigdzie nie spotykamy całkowitego obrazu chociażby osobiście przeżytych czasów, przejść i poglądów, zdobytych częstokroć krwawą praktyką, i dlatego to o wielu ważnych nawet wydarzeniach nic nie wiedzą nasi rodacy (Zabajkalski bunt, sprawa Eichmillera i t. p.).

Otóż po upływie pół wieku, gdy z łaski Stwórcy pamięć mi nie osłabła, podejmuję zadanie dopełnienia tych braków, mając na celu nietylko pomnożenie naszego dorobku historycznego, ale i korzyść praktyczną dla następnych pokoleń młodzieży, która zawsze pierwsza nierozważnie niesie swe młodociane życie niby na ołtarz ofiary narodowej, a w istocie na własną zgubę i większą niedolę swoich rodaków.

Historycznie wiadomo, że Polacy zawsze byli dzielnymi rębaczami, ale najgorszymi dyplomatami—i nic więc

dziwnego, że cała nasza literatura, dotycząca wygnańców, nosi cechę dość abstrakcyjną. Przystępując do opowiadania przejść osobistych, jestem przekonany, że są one jeśli nie zupełnie, to w znacznej mierze wspólnie wszystkim, którzy dzielili nasz los wygnańczy, przyczem uprzedzam swoich czytelników, że nie znajdą tu ani poezji, ani wykwintnego stylu, lecz natomiast czystą prawdę, jako od człowieka, mającego wkrótce stanąć przed sądem Boga. Jeśli zaś moje osobiste poglądy nie wszystkim trafią do przekonania, nie moja w tem wina, gdyż, bez względu nawet na interesy narodowe, lekceważyć i ubarwiać faktów nie potrafię.

Autor.

I. Wyruszenie do powstania.

Wiosna 1863 r. była niezwykle piękna. Zdawało się, że cała przyroda współczuje i podnieca ducha narodowego, i tak już podniesionego do zenitu przez demonstracje z r. 60-go.

Młodzież kipiała.

Już w drugiej połowie kwietnia zaczęły krążyć pogłoski o niezwykłym powodzeniu partji powstańców pod Brześciem, dowodzonej przez Rogińskiego, o zajęciu przez nią miasta Prużan i t. d. W powiecie Nowogródzkim panowała zupełna cisza i tylko z bystrością błyskawicy krążyły poważne wieści o nadzwyczajnym postępie powstania w Królestwie i na Litwie, słyhać było ciągle na ustach będące imiona Langiewicza, Pustowojtowej, Kruka, Traugutta, Mirosławskiego, a nawet Garibaldi'ego. Wreszcie w pierwszej połowie maja kozacy z ogromnym tryumfem przypędzili do nowogródzkiego więzienia około 20 osób „miałieżników“, zabranych z pośród ziemian, wśród których byli: Szalewicz, Pusłowski, Wróblewski, Bereśniewicz, Żwirzdowski, Klukowski i dwóch starych już księży — Ejsmont i Kuczan.

Zdawałoby się, że na tem będzie koniec naszego w powiecie powstania, bo ani tu żadnego planu działania, ani chociażby ukrytej organizacji nie było, i nikt o niczem nie wiedział, tylko przy spotkaniu młodzież zapy-

tywała siebie: „Idziesz?” — „Idę!” — „A więc idziemy“. Takich mówiących zaś było mnóstwo, a stare panny i dewotki, szerząc rozmaite pogłoski, musiały na tych rzuconych na wiatr słowach młodzieży opierać swe wiadoomości, które następnie dochodziły do „mężów-działaczy“.

Naraz wszczęła się burza, której siła musiała porwać ofiary, często może wbrew ich woli; nastąpiły wydarzenia, nad którymi trzeba było zastanowić się i rozważyć je. Ale czyż u młodych zawsze rozsądek bierze górę nad uczuciem? czyż zresztą same wypadki nie kierują często losami człowieka?

18-go maja wpadł do mnie na dziedziniec jeździec i, wręczwszy mi z konia pakiet, znikł, zanim zdążyłem się spostrzedz. Po rozpieczętowaniu znalazłem rozkaz Rządu Narodowego, ażebym natychmiast wyruszył do folwarku Wołkonoszy, gdzie ma być zebrana partja partyzantów w liczbie 150 osób, a zabrawszy ich stamtąd, poprowadził do miasteczka Wsielubia, tam zaś udał się do księdza Bielikowicza, który doda mi jeszcze 50-ciu partyzantów i doręczy dalsze rozkazy tegoż Rządu; do tego dołączona była moja nominacja na oficera wojsk polskich. Wszystko to było opatrzone pieczęciami Rządu Narodowego oraz blankietami z dewizą: „Równość, Wolność i Niepodległość“.

Skra padła na proch, — skruszyło się serce, i w parę godzin byłem już w drodze, uzbrojony w szablę i rewolwer.

W miejscowościach, gdzie mię nie znano i gdzie musiałem zmieniać konie, osoba moja budziła niezwykle zainteresowanie. Ponadto wszyscy byli gotowi do usług i chętnie spełniali wszystkie moje żądania; miałem wrażenie, że gotowi są dla mnie serca swe powyrywać z piersi. To mi schlebiało, a tajemniczość mego zjawienia się budziła ciekawość do najwyższego stopnia.

Ale, o Boże, cóż stało się z tą serdecznością, gdy w jesieni rząd Murawjewa ciężkim kirem pokrył kraj cały!..

19-go maja wieczorem stanąłem w Wołkonoszy, gdzie zastałem trzech partyzantów z drobnej zaściankowej szlachty. W przypuszczeniu, że mogła zająć omyłka w dacie, postanowiłem czekać do 20-go. I rzeczywiście w nocy i nazajutrz w ciągu dnia zebrało się 11-tu, nie licząc mnie. Ponieważ czekać dalej było niebezpiecznie, przeto w nocy wyruszyłem z tą garstką do Wsielubia i tejże nocy zdążyłem zająć do ks. Bielikowicza. Ten mi natychmiast wręczył rozkaz Rządu Narodowego, wydany na moje imię, ażebym zabrał 50 partyzantów i odprowadził wszystkich pod Naliboki za Niemen, gdzie stoją główne siły, których naczelnik miał wydać mi dalsze rozkazy. Na zapytanie o tych 50 partyzantów ks. Bielikowicz odpowiedział, że się nie zebrałi, zgłosiło się tylko dwóch, którzy pójdą ze mną, — na resztę zaś ze względu na niebezpieczeństwo nie radził czekać. Wręczył mi przytem pakiet Rządu Narodowego dla wręczenia głównemu naczelnikowi i woreczek drobnego srebra wagi około 15 funtów.

Po wyjściu od ks. Bielikowicza dwóch jakichś nieznanym mi ludzi towarzyszyło mi aż do obozowiska, niosąc po kolei woreczek ze srebrem.

Ponieważ trzeba było wynaleźć przeprawę przez Niemen, błąkałem się przez kilka dni po brzegu, unikając ludzi, wreszcie znalazłem człowieka, który zgodził się za dobre pieniądze przeprowadzić nas przez rzekę i wskazał miejsce, gdzieśmy mieli go oczekiwać do jutra, aż przyplynie łódź. Gdy nadeszła noc, obawiając się zdrady, postawiłem o jakieś czterysta kroków od obozowiska pikietę, którą objął szlachcic Kolenda i jeden z partyzantów, danych ks. Bielikowiczowi. Rano, ze wschodem słońca, na pikiecie rozległ się wystrzał. Gdym tam doskoczył, znalazłem Kolendę na ziemi z przestreloną nogą. Po opatrzeniu naprędce rannego i przeniesieniu go do obozowiska, zacząłem dociekać przyczyny wypadku. Sam Kolenda oświadczył, że został postrzelony przez nieostrożność towarzysza, który nigdy nie miał w ręku pal-

nej broni, — ci zaś, co bliżej znali wsielubskie probostwo, twierdzili, że obaj oni mieli opinię jak najgorszą, mieszkali jakiś czas w szpitalu przy kościele, czyniąc wiele kłopotu księżom, którzy w żaden sposób pozbyć się ich nie mogli. Nic więc nie pozostawało, jak przepędzić obu, co też uczyniłem. Wkrótce potem zjawił się człowiek z łódką, przewoził nas na drugą stronę, a za osobnem wynagrodzeniem zgodził się rannego Kolendę odwieźć do domu, co, jak się później okazało, wypełnił jak najrzetelniej.

Z 11-tu pozostałymi po kilku dniach uciążliwych pochodów dotarłem pod Naliboki, do głównego obozu, gdzie zameldowałem się naczelnikowi i wręczyłem przeżytki.

Naczelnik nazywał się Janko Kowal (pseudonim). Był to człowiek niewielkiego wzrostu, lat około 40-tu, nadzwyczaj sympatyczny. Gdy, pytany przez niego, udzieliłem mu kilku objaśnień, pozwolił mi odejść na odpoczynek. Lecz, ponieważ żołądek upominał się o swoje prawa, a chęć dowiedzenia się, co się tu dzieje, coraz się we mnie wzmagala, przeto, zamiast na odpoczynek, poszedłem posilić się, by później zaspokoić swoją ciekawość.

Nie zdażyłem jednak załatwić się ze swoją suchą wędliną, gdy mię wezwano do naczelnika. Zastałem go w pewnem oddaleniu od obozu w towarzystwie oficerów Miładowskiego, Tuhan-Baranowskiego i Downar-Zapolskiego, do których się przyłączyłem. Tu naczelnik nasz oświadczył, że na skutek przywiezionego przeze mnie rozkazu Rządu Narodowego musi na czas jakiś opuścić partję, a to z powodów niezwyklej wagi, i do powrotu swego zastępcą swoim mianuje Miładowskiego.

Zaledwie wieść ta przedostała się do obozu, wszyscy co do jednego stanęli przed naczelnikiem, błagając go, by ich nie opuszczał, jakby w przeczuciu, że wyjazd jego będzie bezpowrotny. Nic to jednak nie pomogło, — Janko Kowal w parę godzin po mojem przybyciu odje-

chał. — Później, po upływie kilku lat, spotkaliśmy się w ciężkiej niedoli z byłym naczelnikiem Kowalem, którym był Władysław Wołodźko. Roztrząsaliśmy z nim wydarzenia z owych czasów i przyszliśmy do przekonania, że obaj byliśmy oszukiwani, że wszystkie zapewnienia były bezpodstawne: jednostki mianowały się tysiącami, broni nie było prawie żadnej, niedostatek panował we wszystkim, i w konsekwencji — koniec tej „małójki“ oczywisty.

Cóż było robić?

Do późnej jesieni, aż do ostatnich chwil tego nieśczęsnego powstania, nie przestawano nas ludzić pocieszającymi wieściami, mówiąc już nie o tysiącach partyzantów, lecz o zbrojnej interwencji Napoleona, o polskiej flocie jakiegoś Mańjana, nawet częstowano nas krzykliwemi odezwaniami tego mistycznego oficera, — słowem prawdy w niczem, natomiast same złudzenia, które spowodowały tyle ofiar i tyle męki.

Miładowski zorganizował trochę partję, w której z oficerami i niewielką liczbą posługaczy naliczyliśmy 84 osoby, i oświadczył, że na mocy rozporządzenia wyższej władzy mamy udać się pod Miłowidy, będące stacją na szosie „pomiędzy Słonimem a Słuckiem“.

II.

Pochód pod Miłowidy. — Potyczka.

Stosownie do rozkazu naczelnika, na noc zebraliśmy się i wyruszyliśmy w drogę.

Pomijam tu szczegóły tego pochodu i rozmaite smutne i bolesne epizody, które dziś już znaczenia nie mają. Ponieważ po drogach przechodziły ciągle oddziały wojskowe i podjazdy kozackie, musieliśmy brnąć przez lasy i manowce, skutkiem czego pochód ów zabrał nam osiem dni czasu, pomimo, iżśmy robili po 50 wiorst na dobę.

Na kilka dni przed dojściem do celu zakomunikowano nam w drodze, że w Miłowidach zastaniemy powstańców z kilku powiatów w liczbie około dziesięciu tysięcy zbrojnych, a nadto artylerję. Wiadomość ta dodała nam wielkiej otuchy. To też ze wszystkich sił śpieszyliśmy i w pierwszych dniach czerwca stanęliśmy na miejscu, gdzie w istocie znaleźliśmy zgromadzone powstanie z pięciu powiatów łącznie z naszym. Naczelnikami powstania byli: powiatu Słonimskiego — Jundziłł, Wołkowyskiego — Włodek, Prużańskiego — Młodek, Grodzieńskiego — pułkownik Brandt i Nowogródzkiego — Miładowski. Wszystkich partyzantów pod bronią, licząc w to i kosynjerów, było niespełna tysiąc, na placówce zaś ustawione były dwie dębowe armaty, obciążone żelaznymi obręczami, i one to stanowiły naszą artylerję. Partje te stały tu już od tygodnia, oczekując z rozporządzenia Rządu Narodowego przybycia powstania nowogródzkiego w ilości dwóch tysięcy zbrojnych. Otóż okazało się, że my liczyliśmy na ich wielkie siły, a oni na nasze i to miało ogromny wpływ na dobre usposobienie naszych naczelników.

Nie wiem dotychczas, czy to owe krążące pogłoski o naszych siłach, czy też inne jakie pobudki były powodem, że nasi przeciwnicy nie zaczepiali nas, co nam dało możliwość organizowania się i zabezpieczania bez szczególnego ukrywania się. To też po naszym przyjsciu jeszcze tydzień zeszedł spokojnie na odpoczynku, zaznajamianiu się i pogawędkach.

Każdy naczelnik był absolutnym panem swej partji, każdy postępował według swego „widzimisie“, bo ogólnego naczelnika nie było.

Obozowisko nasze zajmowało południową stronę szosy, miejsce, porosłe pasmem rzadkiego sosnowego lasu; dalej na południe o wiorstę zaczynały się obszerne błota i trzęsawiska, dochodzące podobno do błot pińskich.

Wreszcie siódmego dnia spokój nasz został zakłócony. Po południu posłyszeliśmy od strony Nieświeża tę-

tent konia, pędzącego po szosie, i kilka strzałów. Okazało się, że to kozak pędził z listem do komendanta wojsk, podchodzących ku nam ze strony Słonima; chodziło im o porozumienie się co do jutrzejszego jednolitego działania przeciw powstańcom. Zrozumieliśmy, że mamy gotować się do boju. Prócz listu, znalezione go przy rannym kozaku, którego opatrzył doktor Łazowski, dowiedzieliśmy się jeszcze, że o cztery wiorsty stoją na pozycji dwie rotę, cztery działa artylerji i setka kozaków, — natomiast nie wiedzieliśmy nic o siłach przeciwnika ze strony Słonima.

Pod wieczór tegoż dnia zavezowano wszystkich naczelników i oficerów na naradę co do obrony. Narada nie trwała długo i prawie jednogłośnie został wybrany na głównego naczelnika obrony Miładowski, jako akademik. Ale zaledwie to postanowienie zapadło, wystąpił z gromady Brandt, naczelnik powstania grodzieńskiego, i z uniesieniem zawołał: „Jako? ja, pułkownik, mam służyć pod porucznikiem?“ — poczem odszedł do swego obozowiska. Również poczuł się obrażonym i naczelnik prużańskiej partji, Młodek (dotąd nie mam jego właściwego nazwiska). Ten przypomniał, że to on sam zorganizował i przyprowadził prawie połowę tego, co dały cztery powiaty (miał przeszło czterystu partyzantów), a więc, według sprawiedliwości, pierwszeństwo powinno być dane jemu. Zaznaczywszy to, przykładem Brandta odszedł z gniewem. Jakież było nasze zdziwienie, gdy zobaczyliśmy, że obaj ci rycerze, tam dumni i honorowi, zebraли swe partje, i w godzinę już nie było ich w obozie. Dowiedzieliśmy się później, że czyn ich nie uszedł bezkarnie, bo około Kartuskiej Berezki na brzożowych błotach dognał ich generał Nastie i okrutnie strzepał.

Już podczas sesji było wiadomo, iż przeciwnicy nasi mają nazajutrz uderzyć na nasz obóz, więc zaraz po odejściu partji prużańskiej i grodzieńskiej, Miładowski około północy rozstawił nas pozostałych: partje słonimską i wołkowyską prostopadle od szosy w równą linję

ku samym bagniskom, a nowogródzką równolegle do szosy; tak więc wszystkie trzy partje formowały połowę czworokąta.

Noc i ranek przeszły spokojnie. Dopiero około jedenastej przed południem posłyszeliśmy dość częste strzały na skrzydle wołkowyskiem. Trwało to dobre pół godziny, poczem strasznym echem rozległo się po całym lesie rosyjskie „hura“ i w tejże chwili w stronie zachodniej od Słonima zagrzmiała kanonada kartaczy, które i na naszym nowogródzkim skrzydle zaczęły robić spustoszenie. Nietyle świst kartaczy przykre robił wrażenie, ile zbijane igły i gałęzie, które tak gęsto sypały się na nas, że chwilami nic widzieć nie mogliśmy.

Po upływie blisko godziny posłyszeliśmy wreszcie sygnałową trąbkę, i wszystko umilkło.

Staliśmy wszyscy na naszych pozycjach, na razie nic nie wiedząc, co się stało. Ale po półgodzinnej przerwie nastąpił nowy atak. Tym razem szła sama piechota, i jak tylko zbliżyła się do naszych pozycji, daliśmy ognia z naszych dwóch dębowych armat. Po czterech jednak wystrzałach obie armaty popękały. Miało to wszakże pomyślny wynik, bo przekonało naszych przeciwników, że mamy artylerję. Gdy przyszło do ręcznej bitwy, poczęto pruć się bagnetami, a w końcu wciągnęli się w bitwę nasi kosynjerzy, stojący dotychczas w tyle. Walka ta trwała do godziny piątej po południu, o której to godzinie znów rozległa się trąbka, i przeciwnik nasz, już w niewielkiej liczbie, zaczął ustępować.

Wszystkie pozycje zostały przez nas utrzymane, a posłani na zwiady ochotnicy nasi wrócili z wieścią, że pozostałe wojska przeciwnika z pośpiechem ustąpiły ze swych pozycji. Natychmiast został wydany rozkaz zebrania rannych i pogrzebienia poległych.

O zachodzie słońca cała nasza placówka zajęta była przez rannych z obu stron. Tu już nie było wrogów, — wszyscy byli braćmi. Widok jęczących rannych, którzy błagali o dobiecie i westchnienia konających rozdierały

nam serca. Doktorzy i felczerzy z zakrwawionemi rękami i zbroszoną odzieżą uwijali się co sił z pomocą. Brakowało jednak środków opatrunkowych, więc trzeba było z zabitych ściągać koszule na szarpie i bandaże. Słowem — było to piekło, jakiego nawet olbrzymia wyobraźnia Dantego odtworzyćby nie mogła.

O wielki Boże! gdybyż owi nieznani działacze całej sprawy mogli zobaczyć ten okropny, duszę szarpiący widok, przeniknąć w duszę ofiar swoich i objąć cały ten krwawy obraz, będący wynikiem ich próżnej i na niczem nie opartej fantazji.

Nazajutrz, po opatrzeniu w miarę możliwości rannych i pogrzebaniu zabitych, wyjaśniło się, że i ze strony przeciwnika większa część padła ofiarą kartaczy, bo z powodu pomyłki strzelali do swoich, — a stało się to w ten sposób: Komendant dał rozkaz posłanej do ataku piechocie, by obeszła nasze pozycje i nacisnęła nas od tyłu, w kierunku artylerji, a „hura“ miało być hasłem tego; tymczasem niespodziane natknięcie się piechoty na nasze skrzydło zmieniło o tyle postać rzeczy, że cofać się już nie mogła, a zawiadomić o tem komendanta nie udało się jej.

Poległo tu niemało i naszych. O ile pamiętam, znaleźli wtedy wieczny odpoczynek waleczny Habik i Gorski, szczorsowianie, i mnóstwo innych, którzy we wspólnej z przeciwnikami spoczęli mogile, a w obliczu Boga stanęli już nie jak wrogowie.

Tak upłynęło dni cztery, smutne i głodne, wśród jęku rannych. Na piąty dzień zaczęli zjeżdżać włościanie, którzy odwozili ciężko rannych żołnierzy Rosjan i Polaków.

Tegoż dnia dowiedzieliśmy się, że ze strony Nieświeża nadciągają znaczne siły wojska. Zostawać tu na nową klęskę byłoby bezczelnością — popierwsze dlatego, że nie było ładunków, a powtóre, że zostało w obozie jeszcze wielu lżej rannych, których narazilibyśmy na nowe, jeszcze gorsze cierpienia. Na ogólnej przeto naradzie,

po wyjaśnieniu wszystkich okoliczności, postanowiliśmy odejść do swoich powiatów, a ponieważ warunki miejscowe nie pozwalały nam zaraz tego uczynić, więc pod wieczór opuściliśmy nasze pozycje, postanawiając rozejść się przy pierwszej sposobności.

Dziwna i niepojęta dotąd dla mnie rzecz, dlaczego wojska, stojące po drugiej stronie Nieświeża, nie uderzyły wówczas na nas, co gdyby się stało, to chyba niewiele zostałooby przy życiu.

III.

Chatka w lesie. — Przeprowa. — Pobojuwisko. — Wyjście pod Krzywoszyn i nowe pobojuwisko. — Książ Łaskiewicz.

Odeszliśmy z pod Miłowid na zachód bez przewodnika, bez planu, wprost naoslep. Położenie nasze z dniem każdym stawało się coraz gorszem. Włóścianie, którzy z początku zajęli stanowisko wyczekujące, nie przechylając się na żadną stronę, teraz, pod wpływem pogłosek, że powstanie to nastąpiło z powodu uwolnienia ich przez rząd od pańszczyzny, i dostrzegłszy, że siła naszego przeciwnika przeważa, przeszli na jego stronę, i utworzono z nich milicję, która stała się dla nas groźniejszą od wojsk regularnych. Śledzili oni bacznie nietylko nas samych, lecz i dwory, które były jedynymi dostawcami naszego pożywienia, — ciągle zaś aresztowania, oparte najczęściej na fałszywych doniesieniach, a wywołane jakąś osobistą zemstą, wprowadziły w panikę wszystkich, w których tlała jeszcze jakakolwiek skra współczucia i polskości.

Odarci i głodni, brnęliśmy po błotach i kępach, — wreszcie na trzeci dzień wyszliśmy na jakiś wzgórek w lesie, gdzie znaleźliśmy ubogą chatkę. Wzgórze to okazała mała rzeczka, niezbyt szeroka, ale nadzwyczaj błot-

nista. Z powodu upadku sił uśmiechał się nam odpoczynek w tej chatce, więc zatrzymaliśmy się tu bez namysłu.

Pod wieczór przybył do nas jakiś osobnik z tłumokiem pożywienia i oznajmił, że pragnie przyłączyć się do powstania. Podejrzewając w nim szpiega, kazaliśmy go pilnować, aż w końcu sam się przyznał, że wysłano go tu na wywiady i że o kilka wiorst, podobno we wsi Kulikach, stoją dwie rotty wojska. Nie wiem, z czyjego rozporządzenia, dość, że powieszono go. Za tę sprawę w Nowogródku zostali rozstrzelani Smysłów i Ungiebauer; pierwszy był felczerem w szpitalu, drugi — nieprawym synem generała obozujących niegdyś w Nowogródku wojsk Ingielstroma. Na kilka miesięcy przedtem został rozstrzelany Pusłowski za to tylko, że należał do polskiej arystokracji.

Naczelnicy partji dali rozkaz do wystąpienia dopiero o świcie, bo noc była ciemna, a trzeba było przeprować się przez ową rzeczulkę, na której ani mostków, ani kładki nie było, a u brzegu stało jedyne zgniłe czółenko, które mogłoby przewieźć zaledwie jedną osobę. Podeszliśmy do brzegu, brnąc po kolana, a zaledwie nasza starszyzna przepłynęła po kolei tem czółenką, gdy ze wzgórza, dopiero co przez nas opuszczonego, rozległy się gęste strzały, które skierowane były głównie na wołkowyszczan. Rzuciliśmy się wszyscy w rzeczkę, a ja, brnąc prawie po szyję, nietyłe w wodzie, ile w błocie, widziałem już rozplywające się po wodzie smugi krwi. Obok mnie posuwali się bracia Bołtucie i K. Jezierski, którzy, będąc małego wzrostu i nie mogąc twardego dna zgruntować, pozostali tam na wieczny odpoczynek. Gdym się wydostał na brzeg i obejrzał za siebie, zobaczyłem pływające już po całej rzeczulce trupy, a kule literalnie, jak roje pszczoł, gwizdały dokoła. Bito nas, jak gęsi, i niestety nawet najmniejszego oporu stawić nie mogliśmy, bo nie było na to środków. Poszedłem na zachód, a kule wciąż mnie goniły, pomimo, że od rzeczki zasłaniały mnie krzaki dozyny. Przed sobą zaś miałem znowu zda się nie-



skończone błoto. Brnąć przez nie aż do wieczora, spotkałem około trzydziestu rozbitków, wśród których nie było ani jednego naczelnika. Jakkolwiek nicby i oni poradzić nam tu nie mogli, ale jakoś wprost instynktownie szukaliśmy zwierzchników, — szukaliśmy jakiegokolwiek gwiazdy zbawienia, ale jej nigdzie dla nas nie było. Brnęliśmy tak naoślęp aż do nocy, a gdy się ściemniło, posiadaliśmy dla wypoczynku na kępach, plecami zwróceni do siebie, nogi zaś zatapiając po kolana w błocie. Głodni i zziębnięci, nawet czystej wody nie mieliśmy dla zaspokojenia pragnienia i w ostateczności piliśmy cuchnące błoto, gęstością swoją przypominające kisiel.

Zaledwie zaczęło świtać, wyruszyliśmy dalej i dość prędko wyszliśmy na suchą drogę, która wkrótce doprowadziła nas do jakiejś wioski.

Zaraz przy wejściu do wsi znaleźliśmy karczemkę, a w niej, jak zwykle, Żyda. Tu dostaliśmy trochę chleba, mleka, a niektórzy pokrapiali się nawet wódką. Po chwili ku nam podeszło kilku włościan ze wsi, co nas uspokoiło, że niema wojsk w pobliżu, i dowiedzieliśmy się od nich, że jakoby o 30 wiorst stąd, gdzieś pod Krzywoszynem, w kierunku południowym, stoi jakaś partja powstańców. Pokrzepieni trochę jadłem i dobrą wiadomością, wyruszyliśmy dalej i zaraz za wsią przeciąwszy jakąś dużą drogę, usiedliśmy w zaroślach przed błotami, by nieco wypocząć. Zaledwie jednak ułożyliśmy się na suchej ziemi, natychmiast, wskutek okropnego zmęczenia, posnęliśmy. Nagle zbudził mię rozdzierający krzyk. Porwałem się na nogi, i oczom moim ukazał się straszny obraz: Oto żołnierze pruli bagnietami śpiących. Nie namyślając się długo, skoczyłem w bok i pomknąłem w błota. Gonili mię wystrzałami. Pomimo jednak, że kontuzjowano mi lewą nogę, uciekłem.

Wyjaśniło się potem, że we wsi rozlokowany był oddział wojska, którym dowodził oficer Smolski. Ten, zoczywszy nas idących przez wieś, popędził naszym śladem i tu ułożył na wieczny spoczynek większą część na-

szej garstki. Z pamiętnych mi zginął tu Piotrowski z Miratycz, Kolesiński i wielu innych.

Znowu pozostałem sam. Błotami i lasem szedłem wciąż przed siebie. Pod wieczór zmoczył mię deszcz. Gdy noc zapadła, umieściłem się między gałęziami na wywróconem drzewie, bo ziemia była mokra i błotnista i nie zważając na mnóstwo pełzających gadów, przespalem się trochę. O świcie poszedłem dalej i na szczęście spotkałem trzech swoich towarzyszków: byli to bracia Domejkowie i Abłamowicz. Panicze i arystokraci z krwi i kości, wychowani w zbytkach, teraz zgłodniiali i zziębnięci, budzili litość swoim wyglądem.

Przebrnąwszy jeszcze spory kawał błota, doszliśmy do jakiejś rzeczulki i odtąd trzymając się jej brzegów, odpoczywaliśmy w napotykanym stogach siana, dzięki czemu i noc spędziliśmy stosunkowo wygodnie.

Nazajutrz wstąpiliśmy do jakiegoś małego folwarczku, którego gospodarz-Żyd nagotował nam spory rondel gryczanej kaszy na mleku. Pochłonęliśmy ją naturalnie z wilczym apetytem, a dowiedziawszy się od Żyda, że, jakoby o kilka wiorst stoi partja powstańców, poszliśmy wskazaną drogą i rzeczywiście pod wieczór dotarliśmy do partji Miładowskiego. Tu, prócz nowogródzian, znaleźliśmy rozbitków partji słonimskiej i wołkowyskiej w liczbie około czterdziestu ludzi. Nazajutrz porochochodziliśmy się do swoich powiatów.

Jakkolwiek organizm miałem silny, nie wytrzymałem jednak tych strasznych przejść i rozchorowałem się w drodze, zaledwie dociągnąłem do swoich stron. Tu przeleżałem jeszcze kilka dni w zaroślach. Okazało się, że mam tyfus. Leczyła mię homeopatią panna Emilia Leonowiczówna z Boryszyna. Nareszcie włościanie z Łopusznej znaleźli mię i zawieźli do Nowogródka. Co było dalej, nie pamiętam, bo straciłem przytomność.

Na zakończenie tego pierwszego aktu owej okropnej tragi-komedji muszę dodać, czego się dowiedziałem od swoich towarzyszków broni o końcu całego nowogródz-

kiego powstania. Otóż pozostała garstka z Miładowskim szła dalej, nie wiedząc ani dokąd, ani poco, aż koło Ilmatowa natarł na nich oddział wojsk i zmaltretował do reszty. Z pomiędzy nich kilku rannych przeniesiono do Nowogródzkiego więzienia. Byli tam Furowicz, który, broniąc się przed napastującymi go kozakami, miał zupełnie porąbane ręce, i W. Czyżyk z czternastu ranami, z których jedna w szyi bagnetem na wylot, druga w żołądku kulą na wylot, ta ostatnia jednak rana prędko się wygoiła, gdyż żołądki nasze były zawsze próżne i ranny, wyzdrowszy, być może do dziś jeszcze żyje gdzieś na Syberji.

Nie mogę tu nie wspomnieć i o największym agitatorze oraz działaczu nowogródzkiego powiatu, o księdzu Łaszkewiczu.

Był to człowiek więcej, niż średniego wzrostu, odznaczał się wielkim darem słowa i oschłością duszy, mówił wiele o marnościach tego życia i nagrodach w niebie, sam zaś był pierwszorzędnym tchórzem, bał się o własne życie do śmieszności i przy pierwszym wystrzale zniknął gdzieś, jak kamfora, — słowem w partji był zupełnie zbytecznym balastem. Był to jedyny w powiecie człowiek, któremu w obawie stryczka udało się umknąć za granicę. Ale czy tem uspokoił swoje sumienie, to wielkie pytanie...

IV.

Sąd i zesłanie.

Według praw natury człowiek raz się rodzi i raz umiera, — mnie zaś zdawało się, że w więzieniu urodziłem się po raz drugi.

Już w późnej jesieni, po wyzdrowieniu, zawezwano mię do komisji, gdzie przeczytano mi protokół byłego naczelnika wojskowego, pułkownika Czestowa. Protokół ten miał być spisany na podstawie moich zeznań, złożonych w więzieniu, — tymczasem spotkałem tam zupełnie

mi nieznanne nazwiska agitatorów, jak również wypadki, przedstawione w fałszywym świetle. A ponieważ w miejscu swego podpisu znalazłem jakieś hieroglify, nie mające nic wspólnego z literami, przeto cały protokół odrzuciłem stanowczo. Miało to wielki wpływ na dalszy przebieg mojej sprawy. Nie zważając na oczywisty fałsz protokołu, podejrzewano we mnie wielkiego działacza i wysłano do Mińska. Tu zamknięto mię w celi byłego klasztoru, który przeznaczono na więzienie polityczne. Siedziałem sam jeden, pożerany straszną tęsknotą. Łóżko moje mieściło się w niszy grubej ściany. Pewnego razu, leżąc, dostrzegłem na sklepieniu wydrapany napis wierszami:

„O, Panie, przed laty te same sklepienia
Brzmiały echem dziękczynnego pienia;
Dziś w nich za grzechy dziadów i za ojców winy,
Jak zbrodniarze, pokutują ich wnuki i syny“.

Dalej nazwiska: Rusiecki, Olendzki, Czernik, Świętorzecki.

Zdziwiony byłem niemało spotykanem tu swoim nazwiskiem, — ale później, kiedy się nauczyłem rozmawiać za pomocą wystukiwania, dowiedziałem się, że siedział tu kapitan Czernik, którego wywieziono do Kazania, gdzie wspólnie z Iwonickim, Mroczkim i Stankiewiczem został rozstrzelany jakoby za organizację powstania na Powołu.

Indagowali mię żandarmi, przysyłali szpiega, rozmawiającego po polsku, ale ten w tak niezręczny sposób brał się do rzeczy, że się odrazu zdemaskował. Wreszcie oddano mię pod sąd wojenny, na mocy którego skazano na rozstrzelanie, poczem wprost z sądu zabrano mię do więzienia i wsadzono do jakiejś wilgotnej komórki w podziemiach z okienkiem w górze, przez które zaledwie trochę przesączało się światła.

Po sześciu tygodniach pobytu w tej mogile zawez-

wany zostałem do sądu, dokąd prowadzili mię pod silną eskortą. Jak się okazało później, chodziło o to, że był to dzień świąteczny i dużo ludzi na ulicach, — obawiano się więc, abym nie zemknął.

W sądzie był tylko jeden audytor i ten mi przeczytał konfirmację pomocnika naczelnika kraju, generała Potapowa: Wyrok śmierci zmieniono mi na ciężkie roboty w kopalniach.

Po powrocie z sądu umieścili mię już w ogólnej izbie więziennej, a po tygodniu w liczbie czterestu politycznych wysłany zostałem do Wilna pieszo i pod silną eskortą.

W małym więzieniu odwiedzały mię jakieś stare panny, które pod pretekstem opieki i poświęcenia się łączyły sobie małżonków; w czasie mego tam pobytu w przeciągu tygodnia odbyły się w więzieniu trzy śluby. Widocznie pannom tym chodziło tylko o tytuł mężatek, bo wszak szczęścia małżeńskiego spodziewać się w takich warunkach nie mogły.

W Wilnie dano nam ubrania z dwoma karowymi asami na plecach i koleją wyprawiono do Petersburga. Na dworcu spotkali nas gubernator, jasnie oświetlony książę Suworow i niejaka pani Etlinger, kobieta rzadkiej piękności; częstowano nas herbatą, a tym, którzy przybyli z rodziną, rozdawano ciepłe ubrania i obuwie. Książę Suworow wypytywał prawie wszystkich, za co byli osądzeni, przyczem wykazał swoje zdziwienie i niezadowolone z Murawjewa.

Z tego dworca przeniesiono nas na inny, i stamtąd ruszyliśmy do Moskwy. Umieszczono nas w obszernych gmachach, zwanych koszarami Tytowskimi. Tu pozwolono nam pozostać, jak długo zechcemy, co ze względu na srogą zimę i potrzebę wypoczynku bardzo się nam uśmiechało. Niestety jednak wypoczynek ten trwał niedługo; ucieczka Dąbrowskiego oburzyła naszą władzę, i kazano nam gotować się do dalszej drogi, przyczem ogłoszono spis mających wyruszyć i zapropono-

wano nowe „mundury“, czyli odzież aresztancką. Że jednak mieliśmy niezniszczone jeszcze ubranie wileńskie, więc wymawialiśmy się od tej łaski, tłumacząc się, że nie chcemy marnować skarbowej odzieży. Gdy nas jednak zapewniono, że ubranie nowe możemy brać w każdym gubernjalnym mieście, wzięliśmy je sobie w składzie, a stare sprzedaliśmy stojącym tam kupczykom po trzy ruble za dwie sztuki. Rozumie się, że ta sama odzież przechodziła później do innych partii, tylko zapewne w potrójnej cenie. Powtarzała się taka transakcja w każdym gubernjalnym mieście. Później dowiedzieliśmy się, że wszystkie wydatki naszej podróży i utrzymanie na miejscu, a nawet i w ciężkich robotach, pokrywane były z sum kontrybucyjnych, ściąganych z zachodnich gubernji, — a więc gubernje te odpokutowały za wszystkich i za Polskę samą.

Po zebraniu partii zaprowadzono nas na tak zwany „Kałamażnyj dwor“, obok dworca. Weszliśmy do ogromnej sali, czystej i rześście oświetlonej, w końcu której umieszczono brygantów (tak nazywaliśmy przestępców kryminalnych, którzy byli naszymi towarzyszami w tej podróży).

Wkrótce do sali tej wszedł jakiś kupiec w kosztownej szubie, lat 40, o bardzo sympatycznej twarzy, okolonej szerokim, rudym zarostem; idący za nim lokaj w białych rękawiczkach niósł srebrną tacę z pieniędzmi. Kupiec ów przeżegnawszy się przed obrazem, zwrócił się do stojącego najbliżej i podał mu kilka monet. Ten, chowając ręce za siebie, spytał, co to znaczy. — „Wsparcie“ — odrzekł kupiec, na co stojący obok wygnańcy wskazali na brygantów, radząc, aby się do nich zwrócił z pomocą. Kupiec wyprostował się i ze łzami w oczach rzekł: „Panie, nie wiecie, dokąd was rzuci los nieszczęśny; powinniście wyczuć, kto wam chce pomóc ze szczerego serca, bo gardząc tem sercem, uwłaczacie własnej godności i abnegujecie ludzi, którzy wam szczerze współczują“. Rozmawialiśmy z nim naturalnie po resyjsku.

Trzeba było wszakże załatwić tę kwestję w sposób, któryby obie strony zadowolnił, więc zwróciliśmy się do księdza Moniuszki, prosząc go, by przyjął owe wsparcie w imieniu nas wszystkich, co oszczędziło nam przykrości wyciągania ręki, a ofiarodawcom ułatwiło spełnienie tego miłosiernego uczynku. Takich zaś filantropów było mnóstwo; kiedyśmy dojeżdżali do Niżniego Nowogrodu, ks. Moniuszko przyniósł nam do wagonu otrzymane w ten sposób pieniądze, z których na każdego wypadło 73 ruble z kopiejkami. Hojność więc niezwykła! Można zaś sobie wyobrazić, jakie sumy dawała Moskwa, skoro takie mniej-więcej okazałe wsparcie otrzymywała każda partja wygnańców, przejeżdżających przez tę stolicę. A przecież partje podobne przechodziły co tydzień w ciągu dwóch lat.

Z Niżniego poprowadzono nas etapem do Kazania i tu umieszczono w tak zwanych koszarach Lebidiewskich, zupełnie przypominających moskiewskie. Znaleźliśmy tu nowych towarzyszków z Wołynia, Podola i Ukrainy, gdyż droga ich prowadziła przez Woroneż i Penzę do Kazania. Było tu także sporo Żmudzinów, których wsie spalone przeznaczono dla rosyjskich osiedleńców, a ich samych całemi rodzinami wysyłało na Sybir. W koszarach owych grasował straszny tyfus, którego ofiarą padali najczęściej właśnie Żmudzini, czemu do pewnego stopnia sami byli winni, gdyż przy całej swej uczciwości i pobożności, posuniętej do fanatyzmu, odznaczali się wielkiem niechlujstwem, przyczem byli tak skąpi, że karmili się przeważnie samymi kartoflami i nawet z tej złotówki, którą dostawali codzień na pożywienie, umieli coś odłożyć.

Panowała tu niezwykła śmiertelność; codzień umierały dziesiątki ludzi. Dlatego też pośpieszono nas odsłać coprędzej, znów etapem, aż do granic Syberji.

Drogę mieliśmy bardzo ciężką, a wprost okropne były noclegi na etapach, które z pewnością pamiętały jeszcze czasy Katarzyny. Były to obszerne domy, prze-

dzielone korytarzami. Po obu stronach tych korytarzy mieściły się cele, mające po cztery i pół arszynów wysokości. Środek cel zajęty był przez nary czteropiętrowe, do których trzeba było wpełzać. Jadać mogliśmy tylko leżąc, a więc na wzór starożytnych Rzymian. Pakowano nas do tych cel, jak śledzie do beczki, to też, nie zważając na okropne mrozy, otwieraliśmy wszystkie lufiki, a często nawet wybijaliśmy okna, bo literalnie brakowało powietrza. Przytem wszystkim dokuczało nam straszne robactwo. Domy owe ogrodzone były wysokimi palami, a na podwórzu było coś w rodzaju targowiska, gdzie sprzedawano różnego rodzaju żywność — wszystko bajecznie tanio.

Muszę tu jeszcze wspomnieć, że wygnańcy polscy, prawdopodobnie z powodu różnicy temperamentów i usposobień, podzielili się na trzy grupy: Do pierwszej należeli wygnańcy z Królestwa, i tych nazywano koroniarzami; do drugiej — wygnańcy z gubernji zachodnich, Litwini; do trzeciej wreszcie — wygnańcy z gubernji południowych, czyli Rusini, którzy w następstwie złączyli się z Litwinami, gdyż w charakterach i poglądach byli zupełnie do siebie podobni. Otóż grupy te występowały wyraźnie wszędzie: i w partjach, i na osiedleniu, a nawet w ciężkich robotach.

Szliśmy wszyscy razem, pilnie strzeżeni przez bagnety, aż w końcu stycznia dotarliśmy do Uralu i tu oglądaliśmy pomnik z napisami po obu stronach: Europa — Azja. Pożegnaliśmy więc matkę Europę i wkrótce stanęliśmy u wrót pierwszej syberyjskiej stacji, Tugutymu. Do etapu wpuszczono tylko brygantów, a nas zatrzymano, jednocześnie zaś podoficer zaprowadził do naczelnika naszego starostę. (Każda bowiem partja obowiązana była wybierać starostę, który był przedstawicielem wszystkich, porozumiewał się z władzą i dostawał pieniądze na żywność dla partji. Otrzymywaliśmy po 15 kop. dziennie — na trzy dni zgóry).

Po krótkiej audjencji starosta wyszedł i oznajmił

nam, że możemy rozlokować się we wsi, ale pod słowem, że nie zawiedziemy zaufania. Jak stado kuropatw po wystrzale, rozpierzchlił się po ogromnej wsi, a wszędzie witano nas z otwartymi ramionami. Nie mogliśmy się dość nacieszyć tym pierwszym przebłykiem swobody; od Niżniego była to pierwsza noc, szczęśliwa i spokojna. Siedzieliśmy w czystym pokoju dokoła kipiącego samowaru i gawędziliśmy o świeżo przeżytych czasach.

Zrana przy herbacie dowiedzieliśmy się od gospodarzy, że nasi towarzysze, popiwszy się, zrobili jakąś awanturę. Wiadomość ta wkrótce się potwierdziła, przy czem okazało się, że to sprawka koroniarzy. Starosta nasz, Bolesław Świda, kładąc ten wybryk na karb wybuchu radości, załagodził całą sprawę, zapłaciwszy poszkodowanym, i tym sposobem władza nie dowiedziała się o niczem.

Tymczasem zajęchały furmanki, więc zebraliśmy się i ruszyliśmy do następnej stacji, tym razem już bez konwoju, w towarzystwie tylko jednego podoficera, który wiozł nasze papiery, w których wyszczególnione były nasze nazwiska, pochodzenie, sprawy i wyroki.

Na następnym noclegu ciż sami awanturnicy wskutek nadużycia alkoholu zrobili jeszcze gorszą awanturę, wprost bitwę, co i tym razem, dzięki staroście i opłaceniu się, uszło im bezkarnie. Gdy jednak na trzecim noclegu powtórzyło się toż samo, wdała się w to władza, i zagrożono nam etapami. Nie było rady; starosta podał spis nazwisk wszystkich awanturników i uchylił się od wszelkiej nad nimi opieki, a władze wliczyły ich do partji brygantów, poczem zapanował już zupełny spokój. Taki był początek znajomości naszej z koroniarzami. Niestety jednak nie skończyło się na tem.

Pozbywszy się tego burzliwego elementu, spokojnie i stosunkowo dość wygodnie dojechaliśmy do Tiumenia w końcu marca. Tu z powodu roztopów oznajmiono nam, że musimy poczekać na rozpoczęcie żeglugi, a tymczasem pozwolono zamieszkać w mieście. Zaraz znaleźli-

my dwa pokoje za trzy ruble miesięcznie i zamieszkaliśmy w swoim kółku. Byli tam: Redych, Wojsiatycz i Lebedziński, obywatele z Sokółki, Świda i Świętorzecki, obywatele z Mińskiego, doktor Ponset de Sandon, student Małachowski i ja ósmy.

Tymczasem przybywały wciąż nowe partje, — wreszcie zebrało się około 800 wygnańców.

Niestety i tu powtarzały się codzień awantury, było nawet kilka wypadków kradzieży, a wdawała się w to zawsze policja. Wszystko to dręczyło nas strasznie.

Jak dalece koroniarze łaknęli zabawy, można wziąć miarę z poniżej przytoczonego faktu. Wśród wygnańców był niejaki Gieniuk z Grodna. Był to już człowiek stary, jechał z całą rodziną, składającą się z żony, dwóch synów, córki, zięcia i dwojga wnucząt. Nagle rozeszła się pogłoska, że Gieniuk jest szpiegiem. Otóż pewnego dnia wpada do jego mieszkania pijany mazur, wręcza jakiś szpargał i rzuca się nań z nożem. Na szczęście był podówczas w pokoju doktor Nowodworski i jeszcze ktoś z Polonji — i ci stanęli w obronie napastowanego, odbierając awanturnikowi nóż i wyrzucając go za drzwi. Znalezione na podłodze szpargał opiewał, co następuje (ortografię wiernie zachowujemy): „Gienius psie kref pił naszą kref, wienc za to powinon był ukarany ostrym naziendziem psebity“.

Takich i tym podobnych przygód mieliśmy niemało i z konieczności musieliśmy dźwigać ten krzyżyk przez cały prawie czas wygnania.

Drugiego czerwca przygotowano statek z dwoma barzami (?), i wyruszyliśmy nim wzdłuż rzeki Tury na północo-wschód aż do ujścia jej do Irtysza, dalej Irtyszem do Obi przepłynęliśmy obok niewielkiej mieściny Narymun, gdzie latem niema nocy, bo zaraz po zachodzie słońca następował wschód. Dalej skręciliśmy nagle na południe i, wciąż płynąc po Obi, dojechaliśmy do Tom-ska. Cała ta podróż trwała 16 dni.

W owe czasy brzegi rzeki Obi zamieszkiwali abory-

gienowie Ostiaki; dziś już plemię owo prawie wymarłe. Otóż ci ludzie na swych z brzozonej kory zrobionych łódeczkach podpływali do statku i sprzedawali nam za kilka kopiejek lub wprost za kawał chleba tyle różnych ryb, że mogło wystarczyć na 10 osób. Wogóle, jak na Barabińskim stepie, tak i za Tomskiem żywność była bajecznie tania; np. wiadro śmietany oddawano za 10 kop. Przytem mieliśmy na zawołanie wielką obfitość zwierzyzny, tak, że ta strona życia była nie do pogardzenia.

Z Tomska aż do Irkucka jechaliśmy po dwóch na podwodzie parokonnej, bo sybirscy włościanie nie lubią złej jazdy. Przy partji jechał podoficer z naszymi papierami.

Wreszcie w ostatnich dniach sierpnia przyjechaliśmy do Irkucka.

V.

Zima w Irkucku. — Pomieszczenie w koszarach, zwanych „Kazionną pałatą“.

W Irkucku pomieszczono nas w dużym dwupiętrowym gmachu, zwanym Kazionną pałatą; niegdyś była tam izba skarbowa, i nazwa jej pozostała, pomimo, że gmach sam przeistoczył się w więzienie polityczne.

Po przybyciu zastaliśmy tu już około 400 swoich. Tych, którzy byli skazani na osiedlenie, zaraz odsyłano do gmin, gdzie po załatwieniu formalności otrzymywali paszporty i odjeżdżali do wyznaczonej im gubernji na zarobki. W samem mieście było już około 1000 takich osiedleńców, a między nimi różni rzemieślnicy, którzy zakładali tu swoje warsztaty, drobni handlarze i kilku doktorów: Trzaskowski, Czekatowski, Piekarski, Birtzeind i Pawłowski; wszyscy oni mieli odrazu ogromną praktykę.

W więzieniach pozostawali tylko zesłańcy do ciężkich robót. Administracja miała z nimi wielki kłopot, gdyż zamało było miejsca do ich umieszczenia; wszyst-

kie fabryki i kopalnie nerczyńskie były przepelnione i musiano wszystkie puste budynki skarbowe obracać na więzienia, których strzegł oficer z oddziałem kozaków.

Taki stan rzeczy kazał nam się domyślać, że zimę spędzimy w Irkucku, i tak się też stało.

Tymczasem co tydzień przybywały nowe partje, co spowodowało w naszym oddziale straszną ciasnotę. Wreszcie zapanował tyfus, zabierając codzień po kilka ofiar. Jakaś fura z miejskiego szpitala, obita granatowem sukniem, wywoziła trupy kilka razy w tygodniu; nieboszczyków przed wyniesieniem składano w szopie, stojącej na naszym podwórku. Chorych leczyli znajdujący się wśród nas lekarze — Krasicki, Kurnożycki, Tonkiewicz i Lasocki; ten ostatni, jako familijny, został wkrótce wysłany do Usolskiego Zawodu, leżącego o 60 wiorst od Irkucka, gdzie, jak mówiono, zebrała się sama „polska śmietanka“. Lekarstwa dawała miejscowa apteka, ale wobec opłakanych warunków higienicznych nic one pomódz nie mogły. W jaki sposób grzebano naszych nieboszczyków, nikt nic nie wiedział, bo nikt ich nie odprowadzał, ani jedna łza nie skropiła ich mogił. Rzecz prosta, iż każdy z nas przewidywał dla siebie taki sam koniec, więc tęsknota ogarniała nas coraz większa, a taki stan psychiczny, źle oddziaływając na organizm, czynił nas mniej odpornymi na tyfus. Doktorzy nasi zaczęli wymyślać dla nas jakieś rozrywki i zajęcia, chcąc choć trochę podtrzymać upadającego ducha.

Zima już przyszła sroga, wieczory długie, dzięki czemu uchwaliliśmy urządzić wieczory literackie, odczyty i wykłady, a w tym celu zaofiarowali swą pracę znajdujący się wśród nas uczeni specjaliści: profesor uniwersytetu kijowskiego Kędrzycki wykladał historję literatury słowiańskiej, mecenas Kobylański — ekonomję polityczną, prawo rzymskie i kodeks Napoleona, d-r Tomkiewicz — anatomję, Hofmeister — języki wschodnie, a d-r Lasocki przed swoim odjazdem czytał nam parę razy wybornie komedje hr. Fredry. Tak oto przeokolaliśmy

zimę, wzbogacając umysł i łagodząc tęsknotę, zaco byliśmy nieskończenie wdzięczni naszym profesorom.

W tym samym czasie, gdy my koiliśmy swój smutek pracą umysłową, w drugim końcu gmachu bracia nasi byli zajęci smutną i bolesną robotą, o której opowiem we właściwym miejscu.

VI.

Ogłoszenie pierwszego manifestu. — Zesłanie na drogę Zabajkalską. — Wybuch buntu.

W połowie maja nastąpiła piękna wiosna, a z nią obudziło się w nas pragnienie wyrwania się ze swego zimowego gniazda i większego zbliżenia się z przyrodą.

Pewnego dnia niespodzianie wpadł na nasze podwórze wice-gubernator Ern, kazał wywołać wszystkich wygnańców i z rozjaśnioną twarzą przeczytał manifest Monarszy, który przynosił nam wielkie ulgi. A więc zesłani na osiedlenie otrzymali prawo powrotu do rosyjskich gubernji lub Królestwa Polskiego, zesłanym na 5 lat do ciężkich robót zmieniono karę na osiedlenie, wreszcie dłuższe terminy skracał manifest o połowę i t. d. Wyjątek stanowili (tak w tym, jak i w innych trzech manifestach) t. zw. żandarmi-mściciele, którzy po raz drugi za cokolwiek byli sądzeni.

Radości, zdawało się, nie będzie końca. Wszczął się ruch i pakowanie się. Uwolnieni od ciężkich robót zaraz byli wysyłani do gmin na osiedlenie, a nam, pozostałym, kazano gotować się do drogi.

Administracja miejscowa wiedziała doskonale o tem, co się działo w ciągu zimy w naszym oddziale, rządy jej jednak zawsze miały na widoku tylko interes własny, — a gdzie tylko byli Polacy, tam najwięcej zdawało się nadużyć z jej strony. W one czasy działy się takie rzeczy, że cały Irkuck można było nazwać domem rozpusty. Generał-gubernator Korsakow był w blizkich stosunkach

z żoną policmajstra Wakulskiego, a romans ten zakończył się jakąś nienaturalną śmiercią Wakulskiego i wyjściem zamaż za Korsakowa „strapionej“ żony zmarłego (Polka z instytutu pułaskiego). Gubernator, generał-lejtenant Szalasznikow, stary wyga, arystokrata, włóczył się za każdą spódnicą, aż w końcu ożenił się ze znaną całemu miastu prostytutką, Nastusią. Otóż ten panujący ton podtrzymywali i mniejsi dygnitarze, kupcy, posiadacze miljonowych kopalni złota. Życie więc tu kipiało, a rozpusta, posunięta do cynizmu, stała się epidemją. A ponieważ przy takim stanie rzeczy potrzebne były pieniądze, więc pociągało to za sobą nadużycia. Niewyczerpanem zaś źródłem dochodu była kolonizacja świeżo zabranego przez Murawjewa Amuru i utrzymanie politycznych więźniów, na co sypały się miliony. I nad całym tym chaosem, jak gwiazda na czarnem niebie, jak anioł stróż, stał arcybiskup prawosławny Parfenjusz. Ten był prawdziwym pasterzem, naśladowcą Chrystusa; bez względu na wyznanie bronił wszystkich, niewinnie uciśnionych, i upominał tych, którzy szerzyli rozpustę lub niesprawiedliwość. Wiele i my zawdzięczamy jego świętej pamięci.

Administracja spokojnie przeprowadzała swe plany, a tymczasem zbliżała się groźna chmura. Zaczęto narazie partjami wysyłać i nas. Do pierwszej partji włączono najburzliwszy element; w liczbie 120 osób zaprowadzono ją do Listwienicy nad Bajkałem, 60 wiorst za Irkuckiem, tam wsadzono na statki i odwieziono do leżącego najbardziej na południe Bajkału Kultuka, gdzie już pozostali. Komendantem tej partji zamianowano młodzieńckiego oficera, Ławrentjewa, który miał do swego rozporządzenia kilku kozaków. W ten sposób, formując co parę dni nowe partje, wysyłano je za Bajkał i umieszczano na samem wybrzeżu w kierunku północnym w kolejno następujących stacjach.

W ten sposób zebrało się za Bajkałem wszystkich zesłańców około 800. Ja byłem zaliczony do ostatniej

partji, do której zaliczono najinteligentniejszych w liczbie 110. Ulokowano nas w pobliżu stacji Miszycha, a komendantem zamianowano oficera Pawłowa, bardzo porządnego człowieka.

Po wylądowaniu podzieliliśmy się według swej woli na kółka i przedewszystkiem pomyśleliśmy o urządzeniu mieszkań. Rozdano nam siekiery, rydle i inne narzędzia, — robota zakipiała i w ciągu jednego dnia stanęły szałas. Następnie porobiliśmy w nich nary, czyli pupłapy do spania, stoły i ławy. Całe wybrzeże zarzucone było suchem splawnem drzewem, wśród którego były nawet deski z porozbijanych barek.

Miejscowość była prześliczna, w niczem nie ustępująca Szwajcarii. Flora cudowna: olbrzymie cedry, modrzewie, błękitne świerki, ponsowe rododendrony rozlewały wokół swój kuszący zapach; a wśród skał i kamieni szumiały kaskady spadających strumyków. Rozradowała się nam dusza na widok tej cudnej przyrody. A odpowiednią była i fauna: mnóstwo rozmaitych bardzo smacznych ryb, których wędką można było w ciągu godziny nałowić tyle, że starczyłoby na 10 osób, — następnie obfitość wielka wodnego i leśnego ptactwa oraz zwierzyny; za opłatą kilkunastu kopiejek pożyczaliśmy od naszych żołnierzy karabiny i urządzaliśmy polowania — zawsze z najlepszym wynikiem. Takim sposobem pożywienie mieliśmy bardzo urozmaicone, a o robocie nikt nawet nie myślał. Zorganizowaliśmy swoją orkiestrę i chóry, które nam uprzyjemniały czas, gdy zebrani po zachodzie słońca nad jeziorem rozpalaliśmy ogromne ognisko, którego promienie, padając na Bajkał, dawały złudzenie, jakby głębie tego jeziora przeszyte były ogromnym sztyletem.

Po przebyciu tylu nieszczęść i trudów zdawało nam się, żeśmy się dostali do raju — tylko bez szarytek. I tak przeżyliśmy wesoło a spokojnie aż do ostatnich dni czerwca.

Pewnego dnia, gdy zachodzące słońce rzucało już

ostatnie swe blaski na wierzchołki drzew, poszedłem z kolei gotować dla naszego kółka herbatę. Rozłożywszy ogień przed szałasem, zawiesiłem na saganie kociołek z wodą, gdy usłyszałem wyraźny tętent koni. Spojrzałem w stronę, skąd tętent dał się słyszeć i zobaczyłem grupę galopujących jeźdźców. Sądząc na razie, że to Burjaci, gdyż oni tylko zwykli w ten sposób jeździć, wróciłem do swego zajęcia. Wtem posłyszałem polską komendę: „Z koni!“ — Na to wezwanie pierwszy zeskoczył jakiś człowiek w marynarce z przypiętą szablą kozacką, której rękojeść sięgała mu prawie do szyi (tak małego był wzrostu), wyciągnął się na ziemi i przemówił: „Jutro będziemy spoczywali na lawetach armat, zdobytych w Wierchnieudyńsku“. — Towarzysze moi powybiegali z szałasów i zewsząd posypały się pytania: co to jest? co to znaczy? — Leżący po pewnej chwili rzekł: — „O nic nie pytajcie, tylko zbierajcie się, a później dowiedziecie się o wszystkim“. — Znowu pytania: „dokąd? pogo?“ — „Dowiedziecie się jutro, gdy przyjdzie dowódca“ — odparł leżący. — Tymczasem podeszli i inni, a przywiązawszy spocone konie do drzew, mówili między sobą: „Cus, może bez tydzień dojedziem do Szwecji; a widzita, bają, że do Szwecji będzie więcej jak dwieście wiorst; bez tydzień nie dojedziem“. Ze słów tych domyśliliśmy się, że to głupia ucieczka.

Uczęstowawszy przybyszów herbatą, dowiedzieliśmy się i reszty, a mianowicie, że ludzie ci stanowili awangardę, której dowódcą był ów mały człowieczek, nazwiskiem Wroński, a jutro mają nadciągnąć zbrojne siły na czele Szaramowicza.

W partji naszej mieliśmy niejakiego Rejnera, farmaceuty z Królestwa. Ten, jak i wszyscy zresztą koroniarze, odznaczał się cholerycznym temperamentem. Otóż, gdy po posiłku posłyszał komendę „na koń“, nie namyślając się długo, skoczył na konia i razem ze wszystkimi pogalopował do następnej stacji Lichanówki. Przypędzili tam już późną nocą, spalili stację, pokręcili się i wrócili

do naszej partji, zaniechawszy już zdobywania armat w Wierchnieudyńsku, do którego było tylko 140 wiorst.

Rejner, wróciwszy, zreflektował się i, nic nikomu nie mówiąc, usiadł sobie spokojnie. Z towarzyszków zaledwie kilku wiedziało o jego wycieczce. P. Wroński zaś ze swą awangardą, poharcowawszy jeszcze przez kilka godzin, pod wieczór pogalopował z powrotem ku stacji Miszycha, leżącej od nas o cztery wiorsty, zapewne, aby spotkać swego dowódcę i zdać mu sprawę z czynów dokonanych.

Na drugi dzień dowódca Szaramowicz przysłał do nas trzech wojaków z rozkazem przyłączenia się do nich, a w razie odmowy zapowiedział, że nas wszystkich powywiesza. Na to odpowiedzieliśmy mu wszyscy zgodnie, że do żadnych awantur należeć nie będziemy, a co się tyczy wieszania, oświadczyliśmy, że ich uważamy za godniejszych szubienicy.

Wkrótce po tej odpowiedzi nadszedł oddział wojowników, samych koniarzy, których mniejszość uzbrojona była w karabiny, odebrane prawdopodobnie żołnierzom, reszta zaś posiadała długie pałki, podobne do kozackich, lecz bez pik, natomiast popalanych na końcu. Oryginalni ci wojacy, niewiadomo, czy z rozporządzenia dowódcy, czy też z własnej inicjatywy, zaczęli literalnie rabować naszą odzież, obuwie, bieliznę i t. d. Nie chcąc narażać swego życia, otwieraliśmy z pokorą i srogim bólem w duszy nasze walizki, w których gospodarzyła mazurska ręka. A tak wielki był ich bezwstyd, że zabierali nawet pamiątkowe fotografie rodzinne. Wreszcie pod wieczór ze zdobyczą odeszli do siebie do domu.

Nazajutrz zrana ujrzelśmy w północnej części Bajkału zbliżającą się ku nam parowce, oczywiście z wojskiem, wobec czego Szaramowicz ułożył następujący strategiczny plan.

Obok stacji Miszycha przebiegała dość duża rzeka tejże nazwy, na której nie było mostu, tylko prom. Ponieważ żadnej innej przeprawy nie było, przeto dowód-

ca, uważając naszą partję za swoją przednią pozycję, postanowił w razie rejtenty zniszczyć prom.

Tymczasem, śledząc parowce, zauważyliśmy, że płyną one wolno przy samym brzegu. Po pewnym zaś czasie na drodze o wiorstę od nas ukazała się kolumna wojska, idąca równolegle z parowcem.

Wobec takiego stanu rzeczy postanowiliśmy wysłać parlamentarza, co słysząc, wzmiankowany już przeze mnie Rejner ofiarował swe usługi i, gdy wojsko było już blisko, wystąpił z białą chusteczką w rękę na środek drogi. Na ten widok kolumna stanęła, jak wryta.

Wpół godziny Rejner wrócił i oznajmił nam, że mamy wszyscy z podniesionymi w górę rękami wychodzić na tył kolumny. Uczyniliśmy wedle rozkazu, poczem dało nam konwój, a kolumna wojsk poszła dalej.

Nie przeszła godzina, gdy posłyszeliśmy strzały — z początku dość częste, później słabnące, wreszcie wszystko ucichło. A nie trwało to dłużej nad kwadrans.

Niebawem ujrzelśmy od strony Irkucka statek z dwoma na linach barżami. Wprost naszej osady statek zarzucił kotwicę, poczem przybliżyła się do brzegu duża łódka, a w niej oficer z kilku żołnierzami, który kazał nam siadać do łódki po dziesięciu.

Gdy pierwsza łódka zbliżyła się do parowca, usłyszeliśmy łoskot kowadeł. Sądzieliśmy, że to naprawiają maszyny, — później jednak przekonaliśmy się, co to znaczyło, bo gdy przyszła kolej na nas na barże, zakuto nas w kajdany. Po dokonaniu tej ostatniej operacji z parowca przesadzono nas na barże, i oficer, który dotąd był bardzo grzeczny, zawołał: „Tak wam sukin-synam i nado; na sieredinu Bajkała i ko dnu!“ — poczem parowiec ruszył w południowym kierunku, trzymając się wciąż wybrzeża.

Ta sama egzekucja powtórzyła się na wszystkich stacjach aż do ostatniej, Kułtuka. Nadeszła noc, gdy na Bajkale wszczęła się burza. Na parowcu, wyczerpanym walką z bałwanami, odcięto linę, łączącą go z naszymi

barżami, i oto zostaliśmy pozostawieni opatrności Boskiej. Byliśmy zupełnie bezradni, mając skrępowane nogi i ręce. Do tego napadła nas wszystkich morską choroba. Leżeliśmy jeden na drugim, a ci, którzy jeszcze nie stracili zupełnie przytomności, zdawali sobie dokładnie sprawę, że czeka ich niechybna śmierć.

Nareszcie nastał dzień i burza zaczęła cichnąć. Na wodzie nie dostrzegaliśmy nic, prócz naszej barży. Gdyśmy przyszedli cokolwiek do siebie, uczuliśmy straszny głód, bośmy już dwie doby nic, prócz czystej wody, nie mieli w ustach. Osłabienie ogarnęło nas wielkie; podtrzymywała nas tylko nadzieja jakiegoś ocalenia.

Po południu ujrzeliśmy na widnokręgu statek, zbliżający się ku nam, a wkrótce dostrzegliśmy, że była do niego uwiązana barża z naszymi towarzyszami. Zabrano i nas i odwieziono do Irkucka.

Gdy prowadzono nas przez miasto, nietylko ulice, ale i dachy pokryte były ludźmi. Szczęk kajdan sprawiał wrażenie piekielne, a ludzie krzyczeli, niektórzy zaś cisłali w nas nawet kamieniami. Przyprawiono nas wreszcie do znanej nam już „Kazionnej pałaty“, ustawiono na dziedzińcu, a pułkownik Kupienko zwrócił się do nas z taką przemową:

„Społeczeństwo tutejsze przyjęło was z otwartymi rękami; otworzono wam narozcież drzwi, uważano was za pożytecznych ludzi i pokładano w was wielkie nadzieje, — gdy tymczasem wy daliście dowód swoim postępowaniem, że jesteście barbarzyńcami, prawdziwymi galernikami... To też, jeśli teraz ponosicie zasłużoną karę, to narzekajcie sami na siebie“.

Dalej wyjaśniło się, że do bataljonu wojsk, wysłanych dla stłumienia buntu pod komendą pułkownika Rycka, dołączony był oficer generalnego sztabu Porochow; był to człowiek młody, przystojny, ulubieniec całego miejskiego beau-monde'u. Otóż, gdy wojska zełknęły się z powstańcami koło stacji Miszychy, Porochow został zabity, i to w tak okropny sposób, że posie-

kano go wprost na miazgę; widocznie każdy z tych wojowników uważał za swój obowiązek wetknąć w niego swoją dźdę.

Oczywiście, że ciało męczennika Porochowa przywieziono do Irkucka, gdzie wszyscy go oglądali i opłakiwali. Wszystko w Irkucku zatrzęsło się od oburzenia. Oto, dlaczego przyjęto nas tak wrogo na ulicach, gdyśmy wchodzili do miasta.

Po dokonanej batalji dowódca Szaramowicz ze swoją armią, nie liczącą nawet setki osób, poszedł w góry na wschód, pozostawiwszy na polu bitwy szesnastu zabitych i około dwudziestu rannych. Umieszczono ich w więzieniu irkuckiem, gdzie d-r Krasicki robił im amputacje, ale tak nieszczęśliwie, że przy życiu został tylko jeden Witkowski, garbarz z Warszawy, — inni wkrótce po operacji pomierali.

Skreśliliśmy powyżej tylko smutne zakończenie tego nieszczęśliwego buntu; ma on jednak swoją historję, i to dość ciekawą, której poświęcimy następny rozdział.

VII.

Historja buntu zabajkalskiego. — Pierwszy tryumwirat.

W partji polskich wysłańców, przybyłej do Tiumentia, były trzy osoby, z którymi dla różnych względów chciałbym bliżej zapoznać czytelników. A więc przede wszystkim Szlenkier, syn warszawskiego przemysłowca, człowiek o pięknej powierzchowności, bardzo zaradumiały, nadto pierwszorzędnny blagier, mający wpływ na otaczających go braci, którzy mu schlebiali ze względu na jego pieniądze. Drugim był Landowski, odznaczający się semickim typem, ateusz czystej wody; był on członkiem Rządu Narodowego i miał widocznie bardzo wpływowe stosunki, bo skoro został skazany przez hr. Berga na powieszenie, ulaskawiono go dzięki wstawieniu się dworu berlińskiego. Trzecim był Celiński, człowiek

już stary; tytułowano go majorem, bo jakoby służył w wojsku na Kaukazie; kilka wszakże słów rozmowy z nim dawało wrażenie, że był raczej feldfeblem. Wogóle wśród koroniarzy nie było pospolitych ludzi: lada kowal mianował się mechanikiem, a pierwszy lepszy mularz architektem i t. p.

Otóż trzy te osoby stanowiły pierwszy tryumwirat i powzięły plan, według którego mieli, płynąc parostatkami z Tiumentia do Tomsku, przy ujściu Irtysza do Oki zawładnąć statkiem i po Obi dojść do Karskiego morza, a stamtąd umknąć do Szwecji. W tym to celu zaczęli jednać sobie zwolenników wśród zesłańców. Na szczęście, w partji było niezbyt dużo koroniarzy i znaleźli się rozumni ludzie, którzy zaczęli dowodzić całej niedorzeczności i niemożliwości wykonania tego projektu. Zapaleńcy trochę się zreflektowali, i skończyło się na projekcie.

Ale Szklenier miał głowę nie od parady, — przytem nie lubił widocznie spokoju. Landowskiego, jako bardzo ważnego przestępcę, po przybyciu do Tomsku odesłano aż do kopalni nerczyńskich i zdawało się, że tryumwirat się rozpadnie. Tymczasem znalazł się zastępca jego w osobie Zarębskiego. Sądząc z wyglądu, był to szlachcic zagrodowy z Królestwa, butny, głupi i niezwykle uparty, udający wielkiego patriotę. Gdy nie chciano się z nim zgodzić, stale odpowiadał: „Chcąc zwalić mur, trzeba wybierać po cegielce“.

Tak więc nowy tryumwirat opracował lepszy projekt. Ponieważ na wszystkich stacjach, zaczawszy od Tomsku do Irkucka, były partje zesłańców, więc postanowiono, aby wszyscy oni jednego, oznaczonego z góry dnia powstali i, odebrawszy broń, uciekli na południe przez góry Sajańskie do Mongolji.

W jaki sposób projekt ten miał się urzeczywistnić, nie dowiedziałem się nigdy. Wiadomo mi było tylko, że, wedle umowy, Celiński pod pretekstem choroby miał zostać w Tomsku, a Szlenkier, przyszedłszy z partją do miasta Kańska, leżącego w połowie drogi pomiędzy Tom-

skiem a Irkuckiem, miał tam pozostać pod przybranem nazwiskiem, niejakiego Korzuna, stałego tamtejszego osiedleńca, czyli, że Korzun, jako Szlenkier, pojechał do Irkucka, a rzeczywisty Szlenkier został w Kańsku. Metamorfoza ta jednak nie udała się, bo Korzuna zaraz po przybyciu do Irkucka wsadzono do więzienia, a Szlenkiera i Landowskiego kazano wysłać pocztowymi końmi w towarzystwie żandarmów wprost do nerczyńskich kopalni — i taki był koniec drugiego projektu.

Ale koroniarze i tym razem nie dali za wygranę. Nie przestawało im się palić we łbach i szukali wciąż awantury. A na nieszczęście tak się stało, że do Irkucka przybyli i pozostali w nim przez zimę Celiński i Zarębski, mieszkając zaś z nami, wciąż kuli projekty, lecz już z pewną odmianą. Tym razem zamierzono wywołać powstanie w samym Irkucku, a że tak w mieście, jak i po wsiach okolicznych, była nasza polonja, liczono więc na powodzenie. W więzieniu zaczęła się gorąca agitacja. Stawiającym opór zagrożono „nocą św. Bartłomieja“, a groźby te stawały się coraz poważniejszymi. Znając już usposobienie i temperament koroniarzy, byliśmy w strachu, bo wystarczyłoby tylko dać hasło, ażeby robota zawrzała.

Starostą naszym był Bąkowski, bardzo porządny człowiek, były adwokat z Warszawy. Ten za zgodą inteligentnych zesłańców nie robił ze sprawy sekretu i o wszystkim zawiadomił policmajstra Domańskiego, który obiecał przedsięwziąć wszelkie środki, by nas przed napaścią zabezpieczyć. Jakież to były środki? Okazało się, że na noc wokoło naszego oddziału rozstawiano wojska, to znaczy, że władzom wcale nie chodziło o naszą skórę, lecz o to, by awantura nie rozeszła się po mieście, a wy sobie rznijcie się, ile się podoba.

Administracja, mając możność stłumienia awantury w samym zarodku, właściwie mówiąc, tolerowała ją, bo przecie nie doszłoby do niej, gdyby usunięto jakich pięćdziesięciu zapaleńców, czyniąc ich nieszkodliwymi. Wy-

starczyłoby zresztą w miejsce młodzieniaszka Ławrentjewa, który nie nacieszył się jeszcze swojemi epoletami, wyznaczyć do Kułtuka naszego komendanta Popowa, który z pewnością potrafiłby stłumić odrazu cały bunt, tem bardziej, że awanturnicy wylecieli jak z procy, bo trzeba im było czasu, by zebrać konie pocztowe do harcowania, odebrać broń konwojowi i t. d.

Otóż, powtarzam, administracji nie chodziło o uspokojenie; pragnęła ona nagród, awansów, co i osiągnęła, rozdmuchując potem tę sprawę do ogromnych rozmiarów. Bo i jakież wrażenie mogłaby zrobić w Petersburgu wiadomość o zbuntowaniu się jakichś 120 politycznych przestępców?

Później nastąpiło ogłoszenie manifestu, zesłanie za Bajkał, już nam wiadome, dalej sądy, wyroki i znowu zesłania, o czem poniżej.

VIII.

Sledztwo. — Sąd wojenny. — Konfirmacje. — Wyrok i jego wykonanie.

Gdyby ktokolwiek, uzbroiwszy się w najsilniejszy mikroskop, chciał zbadać tę sprawę, to napewno nie dostrzegłby w niej ani jednego atomu polityki.

Naszej winy nie było w tej sprawie, bośmy nietylko udziału w niej nie brali, lecz wręcz zajęliśmy przeciw niej stanowisko odporne. Jednakże władze, bez względu na świadectwa komendantów i konwoju, uznali nas wszystkich za winnych i oddali pod sąd wojenny, jako współuczających.

Dodać tu należy, że Szaramowicz i cała jego armja w ciągu najwyżej dwóch tygodni zostali pochwytni przez Burjatów w różnych punktach i dostawieni do Irkucka.

Wreszcie sąd wojenny oznajmił nam, że wybitniejsi działacze, należący do pierwszej kategorii oskarżonych,

mają być rozstrzelani, innych postanowiono co dziesiątego rozstrzelać, pozostałym zaś dać po dziewięćdziesiąt bizunów i zesłać na dożywotnie ciężkie roboty.

W oczach nam pociemniało i pospuszczaliśmy głowy, usłyszawszy ten srogi wyrok. Każdy z nas wiedział, że katorżnik to nie człowiek, to rzecz skarbowa, numer i nic więcej. I kto wie, czy nie wpadlibyśmy wszyscy w ręce kata, gdyby nie wstawiennictwo wspomnianego powyżej arcybiskupa Parfenjusza.

Z wielkim niepokojem oczekiwaliśmy konfirmacji Korsakowa, aż wreszcie 14 listopada 1866 r. w całym mieście powstał niezwykle ruch, szczególnie w dzielnicy przedmieścia Znamieńskiego, a koło naszego oddziału postawiono straż podwójną. Około godziny 2-jej po południu weszła do nas prokuratura i sędziowie i odczytano nam konfirmację Korsakowa, według której byliśmy podzieleni na siedem grup. Do siódmej zaliczono kilkunastu tych, co leżeli w szpitalach, niby chorzy, i ci zostali uniewinnieni; tymczasem oni to właśnie byli głównymi agitatorami, którzy, nie mając innego sposobu skomunikowania się, udawali chorych, bo w szpitalu mieli możliwość spotykania ludzi z różnych partji. Do szóstej, najliczniejszej kategorii włączono wszystkich (między innymi i mnie), którzy zostawali na swoich miejscach i nie brali udziału w buncie; tych uznano za podejrzanych. Następne wstecz kategorie skazano na większą lub mniejszą ilość lat ciężkich robót, niektórych na życie całe. Pierwszą zaś kategorię skazano na rozstrzelanie, czego dokonano tegoż samego dnia. Szaramowicz, Celiński, Kotkowski i Rejner zostali straceni. Ale czy wszyscy oni byli winni, Bóg jeden tylko wie. Kotkowski z pewnością nie należał do awantury zabajkalskiej, ale w r. 63 w Warszawie zasztyletował w hotelu Europejskim pułkownika Telknera, a dowiedziano się o tem dopiero wówczas, gdy już był na Syberji, skazany z powodu innej sprawy: doniesiono o tem do Irkucka, no i znalazła się dobra sposobność odwetu. Rejner zaś, jak wierny, nale-

żał tylko do tej wycieczki na stację Lichanówkę; wydał go właśnie ów sławny naczelnik awangardy, Wroński, który, chcąc ocalić swój nędzny żywot, przyjął prawosławie i oskarżył Rejnera o spalenie stacji.

W kilka dni potem zaczęto nas rozsyłać. Zasadzonych na długie lata odesłano do kopalni nerczyńskich, dwuchset zaś innych, w tej liczbie i mnie, do osady Aleksandrowskiej, leżącej o 60 wiorst od Irkucka (była tam niegdyś rządowa gorzelnia, ale w tym czasie, kiedyśmy tam przybyli, nieczynna).

W końcu listopada zdjęto nam z rąk kajdany i wydano odzież aresztancką, bo byliśmy zupełnie obdarci, a odzież zapasową zabrali nam bracia za Bajkałem. Zima była strasznie sroga, mrozy osiągały 45° R. i wyżej, musieliśmy więc ubierać się w te monstrualne uniformy. Najgorszym jednak naszym nieszczęściem były kajdany na nogach i onucze; w butach przy takich mrozach iść było niepodobna, nakładaliśmy więc rządowe koty, coś w rodzaju ogromnych trzewików.

Z jaką męczarnią przebyliśmy tę podróż, trudno opisać. Drogą krętą, wyślizganą musieliśmy iść przez góry; co krok padaliśmy; onucze rozwijały się, a kajdany nacierały nam nogi aż do krwi, która, sącząc się, zamarzała na skórze; konwój zaś, nie mniej zziębnięty, wciąż nas przynaglał: „Skorej, pany!”

Gdyśmy przyszli na pierwszą stację, rozmieszczono nas po chatkach włościańskich we wsi, bo chłopów w nich nie było. Ogrzeliśmy się i odpoczęli niezle.

Nazajutrz dotknęła nas bardzo wiadomość, że jeden z naszych, niejaki Bielewicz, wpadłszy do chaty, rzucił się od razu na piec i na miejscu oddał Bogu ducha. To samo stało się na następnej stacji z Gieryłowskim.

Wreszcie trzeciego dnia dotarliśmy do Aleksandrowska, gdzie pomieszczono nas w ogromnych koszarach drewnianych, które były niegdyś przytułkiem aresztanckim. Komendantem naszym był oficer Matusewicz, który rozmawiał z nami wprawdzie po polsku, ale niech

Bóg zachowa każdego od naczelnika Niemca lub takiego Polaka.

W koszarach znaleźliśmy już towarzyszków różnego rodzaju, między innymi wielu świeżo przybyłych z kraju, wśród których był ksiądz Grygietis. Żmudzin, asceta w całym znaczeniu tego wyrazu, z nikim nie rozmawiał, siedział ciągle nad zatłuszczonym brewjarzem, pieniędzy żadnych nie brał do rąk, nawet tych, które otrzymywaliśmy na żywność. Zdarzało się, że jeżeli mu ktoś z nas nie podał pożywienia, to siedział po kilka dni bez posiłku; dlatego to wyznaczaliśmy mu zawsze opiekuna, który odbierał za niego pieniądze i myślał o jego pożywieniu. Nigdy nie mogliśmy zrozumieć, co mógł zawinić taki człowiek i za co go mogli skazać na ciężkie roboty.

Życie w koszarach płynęło nam jednostajnie. Miało ono dużo cierni, których sami nieraz przysparzaliśmy sobie. Nie chcę tu opowiadać wielu szczegółów, niekorzystnych dla rodaków, bo i dziś mi o tem boleśnie wspominać.

Zima już była na schyłku, gdy niespodziewany wypadek wpłynął na dalsze nasze losy. Do koszar trzeba było wozić wodę ze studni, znajdującej się za wsią. Roboty tej podjął się z własnej woli, za osobną zapłatą towarzysz nasz, Mazur, nazwiskiem Babicki, który, jak nam się zdawało, był człowiekiem zupełnie spokojnym. Naraz pewnego dnia wpada do naszych koszar komendant z policją, kierując się wprost do celi Babickiego, i przystępuje do rewizji; po krótkiej chwili zabierają jakąś kobiece gałgany, 3 rb. i samego Babickiego. Jak się okazało, Babicki, skusiwszy się na te właśnie 3 ruble i jakąś spódnicę, zamordował we wsi kobietę, matkę dzieciom. Zabójstwa wogóle były tam na porządku dziennym, ale, że tym razem zabójcą był Polak, zrobiła się z tego wielka historia, tak dalece, że przyjechał z Irkucka pułkownik Kupienko. Gdy oglądał korytarze koszar, podszedłem do niego z prośbą, by uwzględnił naszą sytuację i zechciał nas, inteligentów, przenieść gdzieindziej, bo

tu, wśród różnego rodzaju hałastry, trudno było wytrzymać, nie mogliśmy nawet nic czytać z powodu ciągłych bójek i hałasów. Pułkownik odpowiedział: „Zobaczymy“.

I wkrótce pięćdziesięciu nas przeniósł do Usolskiej kopalni soli, odległej o 12 wiorst od Aleksandrowska.

W Usolu istotnie zgromadzona była sama inteligencja polskich wygnańców. Komendantem był Turow, bardzo porządny człowiek. Uwolnił on nas od kajdan, a co więcej, pozwolił zamieszkać na wsi. Niestety, nie mając na to pieniędzy, musiałem pozostać w koszarach, gdzie jednak na szczęście nie było ani hałastry, ani koronarzy, życie więc upływało tu spokojnie. Po niedługim czasie ogłoszony został drugi manifest, zawierający różne ulgi dla Polaków. My jednak, niestety, tak, jak i cała sławna kategoria szósta, jako recydywiści, byliśmy w manifestie wykluczeni, a taki sam los spotkał nas i później, przy trzecim manifestie, choć zdawałoby się, że kwalifikacja „podejrzanych“ nie pociągnie za sobą tak ciężkich następstw. Wzdychaliśmy więc napróżno, chociaż do takiej swobody, która przysługiwała osiedleńcom, i z zazdrością patrzyliśmy na tych, co odjeżdżali od nas na osiedlenie.

IX.

Życie towarzyskie w Usolu. — Rodowa arystokracja. — Pani Joczowa.

Cała osada Usolska, jak i nasze koszary, mieściła się na dość rozległej wyspie, znajdującej się wśród wspaniałej rzeki Angary, u brzegu której rozciągała się ogromna wieś o kilkunastu ulicach. Otóż we wsi tej rozmieszczeni byli po mieszkaniach Polacy w liczbie około tysiąca. Niektórzy posiadali tam nawet własne domy, ale prócz zamieszkałych, byli i ludzie ubodzy. Z arystokracji przebywali tam książęta Czetwertyński z Kijowskiej i Giedroń z Kowieńskiej gubernji, hrabiowie Krasicki z Kijowskiej,

Czapski z Mińskiej, Walicki z Grodzieńskiej, Bniński z Wołynia. Z Korony nie było ani jednego arystokraty, ani nawet żadnego znacniejszego obywatela; widocznie ominął ich prąd powstańczy.

Oczywiście całe towarzystwo polskie podzieliło się na rozmaite koterje i grupy. Najwybitniejszą była grupa warszawiaków, a należeli do niej malarze, muzycy, aktorzy i t. d. Wszyscy oni po południu ukazywali się na ulicach wystrojeni, z podkreślonymi wąsikami, w białych, choć papierowych kołnierzykach i mankietach, w wyszarzanych rękawiczkach, z laseczkami w rękę. Idąc, patrzyli tylko, z którego komina dym idzie, i tam kierowali swe kroki, nie zważywszy, czy mile będą powitani, — a trudno przed braćmi drzwi zamykać. W oczekiwaniu na przyjęcie, opowiadali o sztukach pięknych, o muzyce, udając wielkich znawców, choć właściwie byli to trutnie, polipy na żywym organizmie, nietylko żywiący się cudzym kosztem, ale i pożyczający bez zamiarów oddania. Wyznaczali sobie jour fixy, żyli wesoło, a jeśli się zdarzyło, że komendant wyznaczył im jaką lekką robotę, to myśleli tylko o psotach. Tak np. w lecie posyłano nas zgrabiać siano, przyczem każdy zobowiązany był postawić trzy kopki; w końcu roboty zawsze okazywało się, że czwarta część tych kopek to poprostu krzaki łoziny, przykryte sianem, z czego figlarze cieszyli się, za co jednak rozgniewany komendant wyznaczał podwójną robotę i większą liczbę dozorców. Do drugiej, a także do trzeciej grupy należeli przeważnie ludzie zamężni, zwłaszcza w trzeciej była ich większość. Byli to pracownicy różnego rodzaju, a więc rzemieślnicy, spekulanci, handlarze i t. d. W samej wsi pozakładali oni warsztaty, garkuchnie, piekarnie, a nawet kawiarnie. Obstałunków mieli mnóstwo; każde zajęcie opłacało się sownie.

I my, mieszkańcy koszar, nie próżnowaliśmy, bo w samej osadzie potrzebne były ręce do roboty w warsztatach rządowych, kuźniach, ślusarniach, stolarniach i t. p.,

w których zarobić rubla dziennie było nietrudno. To też i byt nasz poprawił się,—posprawialiśmy sobie ubrania, herbatę cegiełkową z solą zamieniliśmy na zwyczajną z cukrem i zaopatrzyliśmy się nawet w przedmioty zbytku, samowary, co najważniejsze zaś, mogliśmy coś uzbierać i na czarną godzinę, a chociaż coprawda i ówczesne godziny nie były jasne, ale stosunkowo żyliśmy cicho i spokojnie.

W Usolu, prócz Polaków, było dużo przysyłanych z Rosji zesłańców-kryminalistów, zbrodniarzy z inteligencji. Ci ostatni często umieli podszyć się pod nazwę politycznych i na razie żyli spokojnie, — czasem bróździli, zanim nie zostali zdemaskowani. Bywali jednak wśród nich i wręcz niebezpieczni. Ofiarami takich padli Ilnicki, podobno mąż znanej pisarki, i Lipski: zamordował ich b. kapitan Dołżykow, który, mając apetyt na pieniądze, udawał patriotę i czułego kolegę.

Nie mogę nie wspomnieć tu o pani Joczowej, uchodzącej wśród nas za wygnankę polityczną, która jednak w istocie nie miała nic wspólnego z polityką. Historję jej, dość ciekawą, opowiem w kilku słowach. Najbliższym moim sąsiadem w koszarach był niejaki Jelski, chłopak 25-letni, przystojny, dobrze zbudowany, cichy i zresztą nieudzielający się. O ile nie był na robocie, czytywał dość poważne książki i nauczył się po francusku. Zachowanie się jednak jego i wogóle cała psychika były jakieś nienaturalne i podejrzone. Nieraz i mnie przychodziło na myśl, czy nie cięży na nim jakaś sprawa kryminalna. Wypytywać nie chciałem, zostawiłem więc tę kwestję czasowi. Ale, chodząc z nim do wsi na targ, zauważyłem, że omija stale krótszą drogę, a gdy go pytałem o przyczynę tego, nie odpowiadał, lecz wprost uciekał. Tem więcej mię to zainteresowało i postanowiłem dowiedzieć się coś o nim od jego ziomek z Wilna, którzy razem z nim byli sądzeni. I usłyszałem taką historję. W szóstym dziesiątku lat w Wilnie mieszkał leśniczy Jocz, człowiek już stary, mający młodą i ładną żonę. Ta, będąc jeszcze

niezameżną, miała syna, którego oddała komuś na wychowanie. Gdy chłopak doszedł do lat 16, przybrani jego rodzice poumierali, a pani Joczowa za zgodą męża wzięła go do siebie. Po pewnym czasie chłopak, o niczem nie wiedząc, zakochał się w swej dobrodziejce, no i zaczął się romans. Chłopakiem tym był właśnie nasz Jelski, syn pani Joczowej i jej kochanek.

Nie wystarczyło to jednak tej pani; postanowiła zgładzić ze świata swego męża i wyjść za Jelskiego. Czy ten ostatni był wtajemniczony w sprawę, niewiadomo, ale należał jeszcze do zmowy jakiś chórzysta z teatru. Otóż pani Joczowa urządziła piknik za miastem, a gdy wszyscy już byli dobrze podpici, oboje duszą starego Jocza i na miejscu go zakopują. A że był to właśnie czas największych rozruchów, pani Joczowa puszcza pogłoskę, że mąż poszedł do powstania. Skutkiem tego cała sprawa przenosi się do komisji wojennej, której prezesem był bohater sewastopolski generał Wiesielicki bez ręki. Tymczasem jednak młoda wdowa i Jelski korzystają jeszcze ze swobody. Ale rozchodzi się wieść, że na ich nieszczęście psy rozgrzebały mogiłę Jocza, a w jego ubraniu policja znalazła papiery, co dało możliwość sprawdzenia osobistości zabitego. Natychmiast aresztowano panią Joczową i Jelskiego (chórzysta poszedł do powstania), a gdy Jelskiego stawiono przed komisję, zeznał on, że podczas pikniku, kiedy wszyscy byli podochoceni, pani Joczowa z chórzystą i mężem gdzieś zniknęli i wpół godziny wrócili bez Jocza, mówiąc, że gdzieś powłókl się pijany. Zeznania tego pani Joczowa potwierdzić nie chciała, skutkiem czego nastąpiła konfrontacja jej z Jelskim. Gdy zaś Jelski zaczął powtarzać swe poprzednie zeznanie, pani Joczowa, wpatrzywszy się weń swemi czarnemi oczyma, przechyliła się przez dzielący ich stół i zawołała: „A wiesz, że jestem twoją matką?“ Prezes zaś Wiesielicki dodał: „I kochanką i narzeczoną“. — Jelski osłupiał.

Jednak i jego skazano na ciężkie roboty, chociaż

faktycznie niewiadomo, czy był winien. Wiadomem było tylko, że ten człowiek miał duszę rozbitą i czuł tak niepokohamowany wstręt do matki, że nawet nie mógł chodzić po tej ulicy, gdzie ona mieszkała, otoczona zawsze rojem wielbicieli, pomimo już mocno zwiędłej piękności.

X.

Sprawa Ejchmillera.

Widocznie musiały już dojść i do Petersburga niepoehlebne wieści o administracji, skoro niespodzianie nastąpiła zmiana generał-gubernatora i gubernatora. Na pierwsze stanowisko został mianowany senator Sinielnikow, którego niektórzy z pośród nas pamiętali jeszcze, jako gubernatora w Żytomierzu, a później generał-intendenta w Brześciu. Ta ostatnia jego służba przypadła na czas powstania. Zdarzyło się, że, przejeżdżając gdzieś koło Brześcia, Sinielnikow był zatrzymany przez powstańczą partję Rogińskiego; ten jednak, poznawszy generała, przeprosił go, a nawet dał mu eskortę dla większego bezpieczeństwa. Wogóle wszystkie wieści, dotyczące nowego generał-gubernatora, mającego opinię nadzwyczaj prawego człowieka, budziły w nas wielkie nadzieje. I w rzeczywistości nie zawiódł on naszych oczekiwań. O administracyjnej działalności jego możnaby piisać całe tomy. Jego cyrkularze do dziś są podstawą dla ekonomicznego zarządu krajem. Ale ponieważ ta strona nie wchodzi w zakres naszego opowiadania, przeto opowiem tu choć pobieżnie o zachowaniu się jego względem Polaków.

Jak to i dziś się praktykuje, że policja obowiązana jest znać na wylot duszę każdego człowieka, tak i w owe czasy nasi komendanci obowiązani byli co miesiąc, opierając się na wskazówkach policyjnych, składać przed wyższą władzą opinię swoją o nas. Można sobie wyobrazić, jaka to była opinja: skoro posady komendantów dawały olbrzymie dochody, trzeba więc było jak najdłużej

trzymać tych wygnańców, bo bez nich nie byłoby i posad. Otóż z tej racji komendant nerczyński, Niemiec Knoublauch, dawał taką opinię, że na swobodę można było chyba liczyć po przejściu na łono Abrahama.

Wkrótce po przyjeździe do Irkucka Sinielnikow kazał policmajstrowi znaleźć Rogińskiego, który wówczas pracował u bogatego Żyda, Dąbrowskiego. Żydzi mieli w ręku cały ówczesny handel, przynoszący im miliony, mieli więc tam duże znaczenie. Otóż Sinielnikow, który Żydów nie znosił, dowiedziawszy się o sytuacji Rogińskiego, dał mu list polecający do milionera Chaninowa, i u niego Rogiński dostał świetną posadę.

Następnie Sinielnikow rozkazał policmajstrowi wynaleźć wśród obdartych, jak się sam wyraził, Polaków, papierośnika i lokaja. Na pierwszą posadę zgłosił się niejaki Budzyński, na drugą — Biedrzycki; pierwszy był szlachcicem z Wołynia, drugi — studentem uniwersytetu kijowskiego. Po pewnym czasie Sinielnikow, dowiedziawszy się o ich pochodzeniu i stwierdziwszy ich uczciwość, dał im listy polecające — Biedrzyckiemu do Zarządu złotych kopalni Dżylinda, gdzie przyjęto go na posadę, przynoszącą trzy tysiące rubli, a Budzyńskiemu do dyrektora żeglugi amurskiej, pułkownika Szenbeka, który mu dał zarząd hotelu w Sretyńsku, co okazało się tak korzystnym, że w ciągu kilku lat Budzyński zebrał trzydzieści tysięcy rubli i wyjechał do kraju.

Dalej Sinielnikow, objąwszy swoim genialnym rozumem całą machinację i nadużycia miejscowej władzy, porozumiewa się z Petersburgiem i uwalnia od ciężkich robót wszystkich Polaków.

Był to nietylko wielki administrator, ale i dzielny gospodarz. Za jego rządów Irkuck ogromnie się podniósł; zaczęto tu budować piękne domy, między innymi postawiono i zorganizowano wspomniały teatr, który dotąd był raczej jakąś tancbudą, bo przedsiębiorca, Żyd wychrzczo-ny, Krauze, nietylko dbał o sztukę, ile o dostarczanie miastu kurtyzan.

Sinielnikow, chodząc z laseczką po mieście, zaglądał wszędzie, karciał i wprowadzał porządek. Robotami w teatrze kierował Ejchmiller, zdolny bardzo stolarz z Warszawy. Był to człowiek jeszcze młody, małego wzrostu. W Warszawie był prawdopodobnie tylko czeladnikiem, ale w Irkucku, gdzie przez jego ręce przesypany się tysiące, przewróciło mu się we łbie, i zaczął hulać, utrzymując aż dwie kochanki, wreszcie zawikłał się w interesach i począł coraz częściej domagać się u Sinielnikowa pieniędzy. Ten jednak był ostrożny i dawał je oględnie.

W ów nieszczęsny dzień Sinielnikow, obchodząc, jak zwykle, miasto, zaszedł i do teatru. Tu zastał Ejchmillera, ale już zupełnie pijanego; prócz niego był jeszcze stróż, Tatar, a robotnicy pracowali na galerjach. Zaledwie Sinielnikow wszedł, Ejchmiller zwrócił się doń ze skargą, że stróż nie pali w piecach, i zimno jest pracować, czemu stróż zaprzeczył, prosząc o sprawdzenie pieców. Sinielnikow, zauważywszy nienormalny stan Ejchmillera, zwrócił się ku wyjściu. Ale tu Ejchmiller znów zaszedł mu drogę, na co Sinielnikow, kładąc trzy palce lewej ręki na pierś Ejchmillera, powiedział: „Odejdź Ejchmiller! tyś pijany!“ Na to Ejchmiller dał mu policzek.

Wieść o tym wypadku przedostała się na miasto i żli ludzie naturalnie zatryumfowali: Żydzi cieszyli się, a ziomkowie Ejchmillera, koroniarze, widzieli w nim bohatera. Naturalnie plotek posypało się co nie miara, i była nawet taka wersja, że Ejchmillera przekupili Żydzi, — choć cała sprawa była tak prosta, że ci tylko mogli opowiadać podobne brednie, którzy nie znali charakterów i umysłów naszych braci.

Śledztwo ustaliło, że Ejchmiller jeszcze rano tegoż dnia chciał na dworcu zbliżyć się do Sinielnikowa, lecz przeszkodził temu adjutant generała, który zauważył, że Ejchmiller jest pijany. Po krótkim śledztwie oddano Ejchmillera pod sąd wojenny, który go skazał na rozstrzelanie. Wyrok ten zatwierdził generał Maksimowicz, a

dziwnym zrządzeniem losu wykonano go w dniu 14 listopada, w trzecią rocznicę rozstrzelania powstańców bajkalskich, nawet na tem samem miejscu i o tej samej godzinie.

Taką to podziękę otrzymał Sinielnikow od wygnańców Polaków i w kilka miesięcy później opuścił Irkuck na zawsze.

XI.

Księża.

Wśród wygnańców polskich we wschodniej Syberji było około sześćdziesięciu księży, i niestety, zaledwie trzecia część ich zachowywała się zgodnie ze swym stanem kapłańskim, — reszta była plagą życia towarzyskiego. Intryganci, chciwi, rozpustnicy, mając dostateczne środki utrzymania, puszczały się jeszcze na afery, uwłaczające nie tylko ich stanowisku, ale i dla każdego innego inteligentnego człowieka niegodne.

Tych, co byli zasądzeni na dłuższe terminy do ciężkich robót i nie zostali uwolnieni po trzech manifestach, wysłano do wsi Tuczki, na południe Bajkału.

O życiu ich tamtejszem i zachowaniu się wiemy bardzo niewiele; słyszeliśmy tylko od towarzyszków, że ksiądz Jankowski na handlu bydłem mongolskim zrobił kilkaset tysięcy. Mówiono także, że miał potomstwo.

By nie podejrzewano mię o przesadę i złą wolę, chcę tu dać choć kilka obrazów z życia księży.

W Irkucku ks. Piotrowski, Paulin z Częstochowy, spijał się często i specjalnie zajmował się kradzieżą różnych drobiazgów, za co go nawet nie prześladowano, tylko, gdy wszedł do czyjegokolwiek domu (a znano go w całym mieście), spotykał się zawsze ze słowami: „A ksiądz, masz tu piątaka, tylko pamiętaj, nic nie ukradnij“. Otóż ponieważ się tą nazwą „ksiądz“, a sami księża nie przedsiębrali nic, aby zapobiedz tak przykrym

stosunkom. — Ks. Skobejko, już starszy człowiek, mieszkał w jakiejś śmierzdzącej ruderze z jakąś podobną do niego megierą i zajmował się lichwiarstwem; był to istny typ Pluszki, a obroty jego sięgały dziewięciu tysięcy rocznie. — W Czycie ks. Leszczyński mieszkał na najruchliwszej ulicy, utrzymując szynk; handlował, jak sam się wyrażał, „Lacrimae Christi“, to znaczy „łzami Chrystusa“, a pijana hałastrą witała go: „Książ, podaj szkalik!“

Takich faktów mógłbym przytoczyć mnóstwo, sądzę jednak, że czytelnik już i tego ma dosyć.

Było to dawno, działo się daleko, ale w owe czasy i w kraju zdarzały się wypadki tak sławne, że mógłby ich pozazdrościć sam Herostrat. Gdy w Wilnie Murawjew zamykał kościoły, a policja i żandarmi nie chcieli zdejmować cudownych obrazów, dokonywał tego ks. Niemeksza. On również wyprawiał na tamten świat wszystkich Polaków, skazanych na śmierć.

Cóż dały nam późniejsze i nowsze czasy? Chyba jeszcze smutniejsze fakty. W tym samym czasie, kiedy z bólem w duszy oczekiwaliśmy nowego ciosu, jakim był projekt wyłączenia Chełmszczyzny, dowiadujemy się, że księży z szawelskiego domagają się od swego posła, Bułata, by wniósł do dumy projekt wyłączenia jeszcze z Królestwa i litewskich parafji. W powiecie lidzkim, jak głosił „Kurier Wileński“, w r. 1911 księży Burbo i Swinajtis z powodu języka litewskiego zrobili całą awanturę w kościele, sprowadzili policję, pisali protokoły i t. d. A któż stworzył marjawityzm? Bez wątpienia sami księży. W końcu tegoż 1911 r. czytałem w gazetach opis obrządku przeświecenia księdza na popa na południu Rosji; spodziewam się, że nie lepszym będzie popem, niż był księdzem, potomstwo zaś jego, mające w żyłach swoich krew polską i noszące polskie nazwisko, uzupełni kadry „istinno ruskich“. — Jeszcze nieśmiertelny Puszkina w satyrze swej na renegata Bułharyna zostawił nam i całemu światu taką strofę:

„...Двойной присягою играя,
Полякъ въ двойную цѣпь попалъ:
Онъ Польшу спасъ отъ негодяя
И Русскихъ братствомъ запятналъ“.

I dziwna to jest rzecz, iż ci, co stoją u steru rządów, nie widzą, czy nie chcą widzieć, że, asymilując łajdaków, zapługawiają własny, dobry i szlachetny naród.

A sprawa księdza Macocha, czyż nie zapowiada dużo więcej skandalów od wyżej opisanych. To też nie dziw, że wyższa władza duchowna starała się o prowadzenie sprawy tej przy drzwiach zamkniętych.

Dawniej, gdy stan duchowny był przywilejem szlachty, było więcej księży z powołania; dziś natomiast, gdy stan ten stał się karierą, z trudnością znajdziemy na Żmudzi rodzinę włościańską, któraby nie chlubiła się krewniakiem kunigasem („kunigas“ po żmudzku — ksiądz). Toż samo dzieje się i u nas. Nic też dziwnego, że trochę zadużo mamy już tych Swinajtisów i że kościół zmienił się w kramik; gdzie można wprawdzie zaspokoić swoje duchowe potrzeby, lecz po dość wygórowanej cenie. Słyszymy zewsząd, że duch religijny ogromnie upada, — a czyż może być inaczej przy takim stanie rzeczy? Obserwując nawet niższe warstwy społeczeństwa, łatwo zauważyć, że moralność nie opiera się już tylko na religii, lecz wypływa raczej z rozumowania, — a stąd już krok tylko do ateizmu. Sam Ojciec Święty nietylko nie ukróca tych stróżów moralności i dusz-pasterzy, lecz, siedząc w Watykanie, sam sprzedaje tytuły, jak to już w tym roku miało miejsce z Amerykanką Szelnią, która kupiła tytuł hrabiny za 150,000 lirów.

Naturalnie, że taki stan rzeczy musi podkopać powagę religii i pozbawić ją wpływu, jakiby mogła w sposób dodatni wywierać na ludzi. Duch czasu domaga się we wszystkim postępu, doskonalenia się; w tej dziedzinie jednak dzieje się wręcz przeciwnie, a więc wstecznicstwo raczej zaprawne materjalizmem, a nie postęp zapa-

nowuje niepodzielnie. Dziś doszło do tego, że mówimy o zacnych i bogobojnych pasterzach, jako o wyjątkach. I w istocie dobro stało się dziś wyjątkiem. Dlatego to wszędzie krzewi się antyklerykalizm.

XII.

Pokolenie polskie, pochodzące od małżeństw mieszanych.

Wedle praw przyrodzonych zarówno niższe, jak i wyższe stworzenie, a więc i człowiek, przy skrzyżowaniu ras daje silniejsze i bardziej uzdolnione potomstwo. Weźmy dla przykładu chociażby Rosję: związki małżeńskie Arfykanina Hannibala i Holendra Lermonte z Rosjankami wydały takich genjuszów, jak Puszkina i Lermontowa, którzy są chlubą rosyjskiego narodu.

Otóż zdawałoby się, że przy skojarzeniu polskiej młodzieży z sybiraczkami potomstwo powinno być jeśli nie gienjalne, to przynajmniej silne, dzielne. W rzeczywistości wszakże spotykamy się z wręcz przeciwnym faktem, na co moglibyśmy przytoczyć mnóstwo przykładów. Poprzestaniemy jednak na kilku wybitniejszych.

W Irkucku w r. 1886 powieszono trzech zbrodniarzy, oskarżonych o wymordowanie kilku burjackich rodzin; w liczbie tych trzech zbrodniarzy był syn Polaka, Sawkowski. — Niejaki Mańkowski był synem dość zamożnego i porządnego stolarza z Czyty. Ukończył on cztero-klasową szkołę miejską, poczem dostał posadę na poczcie. Wkrótce jednak, dobrawszy sobie odpowiednich towarzyszy, wypatrzył, kiedy odsyłano pieniądze, zamordował jamszczyka i pocztyljona i ograbił pocztę. Towarzyszów zbrodniarzków powieszono, jego zaś samego, jako niepełnoletniego, skazano na dożywotnie ciężkie roboty. — Okiński, też porządny człowiek, również kształcił swego syna. Ten po ukończeniu miejskiej szkoły, będąc jeszcze niepełnoletnim, wymordował jurte Burjatów. — W Błagowieszczeńsku synowie Selwińskiego i

Kostarskiego są plagą policji. — Jednym słowem z ręką na sercu mogę powiedzieć, że przez 40 lat mego tułania się po całej wschodniej Syberji nie udało mi się spotkać ani jednego syna Polaka, o którym można byłoby powiedzieć, że jest porządnym człowiekiem.

Biorąc analogiczny przykład z Żydami, widzimy zupełnie co innego. Żydów w Syberji jest bardzo dużo, i jak wiadomo, łączą się oni tylko ze swojami. Jednakże, pomimo bardzo utrudnionego dostępu do szkół, widzimy wśród nich wielu bardzo uzdolnionych lekarzy, farmaceutów, techników i t. d.

Zastanawiając się często nad tym ciekawym faktem, tłumaczyłem go sobie tem, że Syberję zamieszkiwali przeważnie ludzie występni, których złe cechy mogły być dziedziczone przez młode pokolenia. Jednak pogląd ten nie tłumaczy wszystkich cytowanych przez nas faktów, a więc przyczyny trzeba szukać w nas samych, co wszakże wychodzi z granic mego opowiadania. Rzućmy wzrokiem gdzieindziej, więc tam, gdzie nie może być mowy o elementach występnych, a zobaczymy też samo zjawisko, prawie analogiczne z poprzednim. Skąd w Rosji biorą się tak zwani „istinno ruskije“ z polskimi nazwiskami? skąd ci Puryszkiewicz, Rodzianki, Krupieńscy, Kielepowsy i inni? Wszak napewno są oni pochodzenia polskiego, i niema najmniejszej wątpliwości, że to są potomkowie owych czterdziestu tysięcy szlachty polskiej, którą w 1848 r. cesarz Mikołaj przemianował najprzód w jednodworców, a następnie pod pretekstem polepszenia bytu powysyłał do Besarabji, do południowych gubernji w części zaś w głąb Rosji. Wypadek tylko dał nam możliwość poznania w nich naszych wnuków. A iluż to jest jeszcze takich, o których nic nie wiemy i nie dowiemy się nigdy.

XIII.

Streszczenie.

Jeżeli ruchawkę z r. 1863 można nazwać powstaniem, to w zachodnich i południowych gubernjach było ono wyłącznie szlacheckiem, a w Polsce ani szlacheckiem, ani ludowem, lecz wyłącznie proletarjackiem. Polska w roku 63-im wyrzuciła na rynek powstańcy wszystkich swych potomków, cały motłoch, — słowem oczyściła się. Muszę tu zrobić pewne zastrzeżenie, bo i wśród wygnańców-koroniarzy było dużo ludzi porządných, ale w stosunku do ogólnej liczby było ich mało. Jestem przekonany, że przy obecnym stanie rzeczy młodzież polska, nie mając żadnego wyjścia we własnym kraju, rozwinie bandytyzm na wielką skalę, aż zjawi się jakiś oszust w rodzaju Mierosławskiego lub Langiewicza, który pod hasłem zbawienia ojczyzny zbierze pod swoim sztandarem wszystkich wyrzutków społeczeństwa, i nastąpi znów okres oczyszczenia się Polski. Można jednak być pewnym, że ani Litwa, ani Ruś należeć już do tego nie będą.

Widocznie zaciasno i zaubogo w Polsce, skoro młodzież przeniosła stamtąd swoją działalność w nasze strony. Nie przywiązywałem nawet do tego wielkiej wagi, aż dowiedziałem się z dziennika „Birżewyja Wiedomości“ (Nr 1 z r. 1912), że rząd jakoby nie zamierzał zabraniać Polakom kupowania ziemi od Polaków w gubernjach zachodnich, co znaczy, że fakty, które uważałem za sporadyczne, musiały się powtarzać i gdzieindziej, i to w znaczniejszej liczbie, skoro rząd zwrócił na to specjalną uwagę.

Przytoczę tu parę przykładów dla lepszego zrozumienia onej działalności młodzieży z Królestwa.

Pewna osoba w podeszłym wieku, bardzo zamożna i nie mająca sukcesorów, dużo bardzo składała ofiar na cele oświatowe, ogólny jednak stan rzeczy krępował jej dobre chęci. Otóż rodacy-koroniarze kupili u niej zabezpiec-

jeden z jej majątków i na żądanie sprzedającej dali uroczyście słowo honoru, że nie będą tego majątku parcelowali. Okazało się jednak wkrótce, że kupujący nie mieli nawet pieniędzy, i natychmiast po zawarciu aktu kupna sprzedali lasy a ziemię rozparcelowali, zostawiwszy sobie siedzibę i pewną ilość gruntu, przyczem ta pozostawiona część warta była tyle, za ile kupili cały majątek. Oszukana właścicielka zwracała się do adwokatów, chciała bowiem już nie zwrotu majątku, lecz satysfakcji za złamanie słowa, — nic jednak nie wskórała.

W drugim wypadku sąsiad mój, S., przy spotkaniu ze mną zwierzył mi się w wielkiej tajemnicy, że sprzedaje majątek warszawiakom, którzy mu powiedzieli, że w Królestwie zawiązało się Towarzystwo, mające za zadanie kupować majątki w celu kolonizowania ich przez Polaków. Oczywiście, że jest to blaga, bo pod hasłem patriotyzmu i polityki ukrywa się osobisty interes i eksploatacja naszego kraju, co w ostateczności może wywołać ze strony rządu nowe środki represyjne.

Co się tyczy księży, to jestem przekonany, że każdy z nich, rzucając ołtarz dla polityki lub innych spraw, nie mających nic wspólnego z religią, jest nie sługą Chrystusa, lecz krzywoprzysiężcą i niegodziwcem.

XIV.

Osiedlenie.

Dzięki generał-gubernatorowi Sinielnikowowi, po pięciu latach ciężkich robót zostaliśmy zwolnieni, by pójść na osiedlenie.

Z Uralu odesłano nas do Irkucka, gdzie rząd gubernjalny, a właściwie ekspedycja zesłańców zaliczyła nas do gmin, jako osiedleńców; po upływie dopiero lat 10 mieliśmy prawo przypisania się do włościan i wówczas stawaliśmy się równouprawnionymi członkami swego społeczeństwa.

W Irkucku pięciu nas naznaczono do gminy Iłgińskiej, w okręgu Wercholeńskim i natychmiast odesłano do nowej ojczyzny, do której mieliśmy podążać traktem jakuckim, ciągnącym się pięćset wiorst na północ.

Jechaliśmy bez konwoju, a taki sposób odsyłania nazywał się „z wielką strażą“, — chociaż właściwej straży nie było i mieliśmy tylko papier, na mocy którego mogliśmy się domagać na każdej stacji dostarczenia nam trzech podwód. Pierwsze trzy dni jechaliśmy przez wsie rosyjskie, — czwartego dnia dotarliśmy do stepów, które przebywaliśmy, robiąc po czterdzieści wiorst na dobę. Stepy te zamieszkiwali Burjaci mieszkający w porozrzucanych ułusach. Jurty ich, t. j. mieszkania, były tak niskie, że zaledwie widoczne były nad ziemią, a nad każdą jurta na długiej żerdzi tkwiły łby i skóry baranów ofiarnych. Zdaleka nie widać było ułusów, tylko sterczące żerdzie ze skórami, co wyglądało tak, jakby trzoda owiec skakała ku niebu.

Był to koniec czerwca. Upały były tak straszne, że szczeliny popękanej ziemi dochodziły pięciu cali, co ogromnie utrudniało drogę. Poza tem ekwipaże burjackie na dwu-sążniowej wysokości kołach, nigdy nie smarowanych, skrzypiały tak przeraźliwie, że nawet najzdrowsze nerwy z trudnością mogłyby wytrzymać.

Na domiar złego panowała wszędzie, gdzieśmy przejeżdżali, epizootja (sybirska „jazwa“), — to też po całym stepie rozrzucone były trupy padłego bydła, zatruwające wprost powietrze. Mirjady bąków i much nie dawały nam jechać, musieliśmy przeto biedz o jakieś parę wiorst przed naszymi wózkami. O ile zimy w kraju tym bywają mroźne, o tyle lata strasznie upalne. Powietrze zdawało się przesyconem płomieniami, pot oblewał ciała, skutkiem czego czuliśmy nieznośne pragnienie. To też, gdyśmy zdaleka ujrzeni ułus, zwróciliśmy się ku niemu w nadziei dostania mleka. Zaledwie wstąpiliśmy do jurty, zaraz na wstępie ujrzeliśmy całą rodzinę, najzupełniej nagą; kobiety bez śladu zażenowania zaczęły obmacywać

nasze odzienia, pościągaly z nas buty i w mgnieniu oka powciągały je na siebie. Nie rozumiejąc ich bełkotania, daliśmy na migi do zrozumienia, że chcemy pić. Najstarsza z kobiet, obłana potem i strasznie brudna, odrzuciła w kącie jurty deskę i z jakiegoś dołu wydestała drewnianą „rażeczkę“, napełnioną mlekiem. Wszystko to, razem wzięwszy, było tak wstrętne, że, pomimo okropnego pragnienia, nie mogliśmy przyjąć tego poczęstunku. Ze wszystkich ruchów i bełkotania zdołaliśmy tyle tylko zrozumieć, że chciały nam zabrać buty za tę czarzkę mleka. To też z wielką trudnością zdołaliśmy odebrać nasze obuwie, a swoją drogą wody nie dostaliśmy.

Na stacji Chochot zatrzymaliśmy się na nocleg. Miejscowy pisarz, jakiś stary osiedleniec, oznajmił nam, że jutro w tej miejscowości odbędzie się „sieglam“, coś w rodzaju jarmarku. Na stacji tej była cerkiewka, a przy niej misjonarz. Otóż dowiedzieliśmy się, że Burjaci mają dobywać z drzewa ogień i ma być wielkie nabożeństwo na intencję deszczu. Zgodziliśmy się chętnie przebyć tu jeden dzień, tembardziej, że pisarz zapowiedział, iż z powodu jarmarku nie można będzie dostać podwód; ciekawi byliśmy zresztą nowych ceremonji i obyczajów miejscowych aborygenów.

Na drugi dzień zrana poszliśmy we trzech na step, chcąc zobaczyć nabożeństwo burjackie. Niedaleko od stacji zobaczyliśmy już około tysiąca zebranych Burjatów, — wszyscy oni widocznie przyjechali konno, bo trochę na uboczu stało mnóstwo osiodłanych koni. Ludzie ci tworzyli jakby ogromne koło, zebrani dokoła placu, mającego około czterech sążni średnicy. Trochę na uboczu stał na ziemi na trzech kamieniach żelazny kocioł w kształcie ogromnego spodka, a tuż przy nim czterech burjatów, którzy tarli dwa kawałki drzewa, aż się zadymiły, poczem Burjaci rozpalili ogień pod kotłem — i to się nazywało „drewnianym ogniem“. W pobliżu leżał związany baran, przeznaczony na ofiarę.

Wtem wszystko ucichło i w pewnym oddaleniu do-

strześliśmy około dziesięciu jeźdźców; na czele pędził pełnym kłusem szaman, czyli kapłan burjacki, który zresztą niczem się nie różnił od innych, miał tylko wysoko podniesioną głowę i niezwykle biegające oczy. Zeskoczywszy szybko z konia, wszedł do koła. Za nim wniesiono bęben i coś w rodzaju dwóch buńczuków oraz gong. Szaman wziął gong i zaczął trąbić, zwracając się w cztery strony, zacząwszy od północy, poczem odrzucił na ziemię gong, wziął bęben i, uderzając weń z coraz większą siłą a coraz szybciej, odpowiednio do tempa skakał, krzywił się i wykonywał różne salto mortale, tak, że trzeba było bardzo panować nad sobą, by się nie roześmiać. Trwało to jednakże dobre pół godziny. Wreszcie szaman wpadł w rodzaj ekstazy, rzucił się na ziemię i począł wymawiać jakieś pojedyncze wyrazy, przyczem tak wielka zapanowała cisza, że słychać było brzęczenie bąków i parskanie koni.

Znowu przeszło pół godziny. Szaman usiadł, później podniósł się, ale zataczał się jak pijany. Wówczas przyniesiono mu barana. Szaman przerznął mu dziurę między przednimi łopatkami, wsadził w nią rękę i począł szukać serca. Musiała to być straszna dla nieszczęsnego zwierzęcia męka, gdyż aczkolwiek skrępowane, rzucało się do góry i dopiero po upływie dobrej półgodziny zdechło. Natychmiast pomocnicy szamana ściągnęli z barana skórę i wrzucili do kotła. Po chwili podszedł do kółka szaman, odciął kawałek barana i zjadł, poczem wszyscy Burjaci uczynili to samo. Mięso było jeszcze surowe, więc krew ciekła częstującym po pyskach razem z nieczystościami z kiszek. Skóra barana zapewne miała być później wywieszona na żerdzi koło jurty.

Gdy się skończyła uroczystość, cała zgraja powsiadała na konie i pojechała ku stacji na „sugłan“, dokąd wróciliśmy i my.

Wybierając się w dalszą drogę, chcieliśmy zrobić zapas żywności, ale okazało się, że z powodu panującej wśród bydła epizootji, prócz mięsa baraniego, nic więcej

dostać nie było można. Na sugłanie natrafiliśmy wypadkiem na babę Rosjankę, która w koszu sprzedawała bułki, wyglądające bardzo apetycznie; kupiliśmy więc ich cały kosz. Ale, gdyśmy się niebawem do tych bułek zabrali, okazało się, że jeść ich niepodobna, tak kłuły w podniebienie. Otóż pisarz objaśnił nas, że są to tak zwane „jaruszniki“ z jęczmiennej mąki; innego chleba nie znają tu wcale, gdyż żyto i pszenica nie rodzą w tych stronach. Później przyzwyczailiśmy się i do owych jaruszników.

Po czterech dniach po wyjściu ze stacji Chochot doszliśmy do rzeki Leny, po której prawym brzegu ciągało się ogromne sioło, Kaczug. Sioło to zaopatrywało cały jakucki kraj we wszystko, — to też Lena, największa z rzek całej Azji, dźwigała tysiące barek, zwanych tam pajączkami.

Z Kaczuga przeszliśmy jeszcze powiatową mieścinę Wercholeńsk, skąd po dolinie Leny dotarliśmy w ciągu tygodnia do innej wielkiej rzeki, Ilgi, dającej swą nazwę naszej gminie, którą odtąd mieliśmy uważać za swą nową ojczyznę. Wreszcie jeszcze po jednym dniu podróży stanęliśmy u celu, w slobodzie Znamieńskiej. Tam zaprowadzono nas odrazu do Zarządu gminy, gdzie pisarz przepatrzył nasze papiery, a dowiedziawszy się z nich o mojem szlacheckiem pochodzeniu, podał mi krzesło i prosił usiąść (czterech moich towarzyszków grzeczność ta ominęła), poczem objaśnił, jakie obowiązują nas przepisy, pomiędzy innymi zaznaczając, że nie mamy prawa uczyć dzieci i że za przekroczenie tego zakazu będziemy wysłani tam, gdzie Makary cieląt nie pasie, że niewolno nam siedzieć w szynkach i wychodzić poza obręb gminy i t. p. Wreszcie po tych wyjaśnieniach puścił nas.

Okazało się, że w Slobodzie osiedlonych jest przeszło stu politycznych.

Towarzysze moi zaraz odnaleźli swoich znajomych i u nich zamieszkali, a ja chwilowo zamieszkałem u Żyda, który na lato odjeżdżał do Irkucka na handel, zostawiając w domu żonę i córkę. Że zaś obawiały się one na-

padu, więc same zaproponowały mi mieszkanie bezpłatnie.

Przeżyłem tak parę tygodni. Zapas pieniędzy miał się ku końcowi, a w perspektywie żadnego zarobku. Wogóle inteligentowi o wiele trudniej było tu o pracę, gdy tymczasem ludzie bez wykształcenia dostawali z łatwością posady stróżów lub robotników, którzy, prócz całego utrzymania, mieli od 150 do 200 rb. rocznego wynagrodzenia.

Trzeba tu oddać sprawiedliwość braciom-koroniarzom, że nikt tak prędko, jak oni, nie potrafią się asymilować, bo już w pół roku z Polaka robi się zazwyczaj chałuj, i gdyby nie akcent, którego pozbyć się nie mogą, to nigdyby nie można poznać, że to Polak.

I tu, jak zresztą wszędzie, potworzyły się kółka, a najliczniejszym z nich było koło pijaków i szulerów. Ci ostatni dniami i nocami zajęci byli graniem w karty, a ogrywali nie tylko swoich, lecz i miejscowych mieszkańców. Kilku tylko rzemieślników pracowało porządnie, ale i ci niekiedy składali daninę szulerom.

Zbadawszy grunt i przekonawszy się, że tu, prócz fizycznej, żadnej innej pracy znaleźć nie można, poszedłem do zamożnego włościanina z propozycją, by mię najął, jako robotnika. Trafiłem na chwilę, gdy gospodarz wybierał się na kosowisko. Na moją propozycję zmierzyl mię okiem, wziął za obie ręce i, obejrzawszy je na obie strony, rzekł: „Jakiś ty robotnik! tobie pisać, a nie robić należy!“ „Wszak nie święci garnki lepia — odparłem; — kraść nie pójdę, a jeść niema co“. — „A cóż ty chcesz na miesiąc?“ — „A to, co według was będzie warta moja robota“. — „A no, zobaczymy! zbieraj się; jutro pojedziemy.“

Nazajutrz przeniosłem swoje rzeczy do gospodarza, ku wielkiemu niezadowoleniu Żydówek, i pojechaliliśmy na pokos, o jakieś wiorst dwanaście od Słobody. Kosić można było tylko od świtu do godziny 10-tej i od 5-tej po południu do wieczora; w ciągu dnia zaś, w sam upał,

nie można było odetchnąć z powodu muszek. Rznąłem trawę tak dobrze, że gospodarz mój, Wasilij Iwanowicz, podziwiał mię i, jak zwykle, sybirak leniwy, zaczął mną się wyręczać, nie przychodząc do obiadu wcale pod pretekstem gotowania herbaty.

Życie miałem bardzo marne, bo mięso, słoje i zasużone na słońcu, zjełczało, jaruszniki też zeschły się, więc, właściwie mówiąc, jedynym moim posiłkiem była herbata cegiełkowa. Skarżyć się jednak nie mogłem.

Tak przeszedł tydzień. W sobotę na noc Wasilij Iwanowicz pojechał do domu po zapasy żywności. Poprosiłem go, żeby mi przywiózł strzelbę i naboje, bo w tej miejscowości było mnóstwo jezierek i błot, a więc i dużo kaczek i różnego rodzaju wodnego ptactwa.

W niedzielę przed wieczorem gospodarz wrócił i tegoż zaraz wieczora upolowałem cztery kaczki. Zabrałem się też natychmiast do gotowania kolacji z dwóch kaczek, z jęczmiennej mąki zrobiłem kluski do zupy, a mój Wasilij Iwanowicz jadł i podziwiał, z zadowolenia zaś przestawał mi nawet mówić na „ty“, zwąc po ojcu „Kazimirowicz“.

Tak spędziliśmy sześć tygodni, żywiąc się owocami mego polowania. Przez ten zaś czas ustawiliśmy ogromny stóg siana i wróciliśmy do Słobody w końcu sierpnia. Według cen miejscowych należało mi się 65 rb. Ale dni mijały, a mój Wasilij Iwanowicz ani wspominał o zapłacie, ja zaś tymczasem pomagałem mu w domu przy gospodarstwie, święta zaś spędzałem na polowaniu, dostarczając tyle zwierzyny, że starczyło jej zwykle na cały tydzień dla całej rodziny.

Rodzina ta składała się z męża, żony i dwóch córek z pierwszego małżeństwa. Starsza z nich była gdzieś za mężem, a młodsza, około 20 lat dziewczyna, pozostawała przy ojcu. Otóż ta panna, nieładna i z wydętą szyją, jak wszyscy prawie tamtejsi mieszkańcy, bardzo się koło mnie uwijała i dogadzała mi we wszystkim. Nigdy mi

jednak na myśl nie przyszło, że mogą mieć na mnie jakieś matrymonjalne zamiary.

Aż pewnego wieczora Wasilij Iwanowicz proponuje mi, żebym szedł do niego „w przyjmy“, to znaczy—ożenił się z jego córką, za co po śmierci jego mieliśmy po nim odziedziczyć całą gospodarkę. Tak mię ta propozycja oburzyła, że zapowiedziałem mu stanowczo, iż jutro wyprowadzę się od niego. — „To ci nie oddam pieniędzy za pokos! Dlaczego brakujesz moją córkę? Lepiej postąp po ludzku i, jeśli teraz ci się nie podoba, to spróbuj pożyć z nią, a może się jeszcze do niej nakłonisz“.

Gdym to usłyszał, wziąłem czapkę i poszedłem do dawnej gospodyni-Żydówki, gdzie znalazłem już i samego gospodarza. Ci chętnie mię przyjęli i posłali po moje rzeczy. Dowiedziawszy się o mojej sprawie z gospodarzem, radzili mi zaskarżyć go do zarządu gminnego. Dałem jednak za wygranę i machnąłem na to wszystko ręką.

Nadeszła zima. Pieniądzy nie miałem, postanowiłem przeto powiedzieć o swym stanie gospodarzowi. Ten pocieszał mię, że z czasem będzie jeszcze dobrze, a tymczasem oświadczył, żebym się nie krępował i mieszkał u nich przez zimę, gdy zaś Bóg pozwoli, że dostanę jakie zajęcie, to się porachujemy.

W ostatnich dniach listopada przyszedł do mnie pewien robotnik Polak i zakomunikował, że prosi mię do siebie jego gospodarz, Abram Pawłowicz Ostrowski, najbogatszy kupiec-Żyd, sybirak. Śród mieszkańców używał on złej opinii, jako awanturnik i despota. Mieszkał o dwa domy dalej, gdzie miał ogromny sklep kolonialny; sprzedawał wódkę, miał w całej gminie kilkanaście szynków i wogóle prowadził duży handel. Przyjął mię bardzo grzecznie i zapytał, czy nie mógłbym napisać mu dwóch apelacji na protokoły akcyznika. Gdy się zgodziłem, dał mi te protokoły oraz ustawę „pitiejną“ i posadził w swym gabinecie. Za robotę tę dostałem sześć rubli, a zdarzała się ona po kilka razy na tydzień. Okazało się, że pan

Ostrowski miał przeszło dwadzieścia spraw, wytoczonych przeciwko niemu, a najwięcej o pobicie: tam pisarzowi na stacji pocztowej dał w twarz, to znów wyłajał „smotrytiela“, to gminnego pisarza i t. p. Trzeba więc było tłumaczyć się i apelować na wyroki. Wreszcie, gdy w końcu grudnia zaczął wybierać się do Irkucka na jarmark, zawezwał mię do siebie i zaproponował, bym u niego został stałym buchalterem i subjektem w jego sklepie, za co mi ofiarował całe utrzymanie i 500 rb. pensji. Zgodziłem się chętnie i tegoż dnia przenieśliem się do jego domu, gdzie na drugim piętrze dostałem bardzo przyzwoity pokój, umeblowany nawet ze względnym komfortem. Cztery dni zeszło mi na przyjmowaniu sklepu, gdzie było przeszło za czterdzieści tysięcy towaru, poczem gospodarz wyjechał na jarmark, a na wyjeźdźnym oznajmił, że, według zwyczaju, mogę liczyć na połowę „przytorżki“, t. j. na nadwyżkę, która się okaże po roku w sklepie, prócz procentów, określonych przy wyznaczeniu cen towarów i już wniesionych do mojej sklepowej księgi.

Tak się rozpoczął nowy szereg dni. Nadeszła wiosna, roboty było mnóstwo, dnie spędzałem w sklepie, a wieczorem na pisaniu lub buchalterji. Gospodarz zaś mój od czasu do czasu zaglądał do sklepu w celu, jak rozumiałem, zbadania mego sprytu do handlu. A jak się prowadzi handel na Syberji, można sądzić z tego, że np. butelka ostrej wódki (kwas siarczany) zapisana była dla sprzedaży w mojej księdze handlowej 12 rb., a w składzie kosztowała 50 kop., — to znaczy nadwyżka 11 rb. 50 kop., stanowiła 23 razy cenę kosztu; glicerynowe mydło przezroczyste, którego kawałek kosztował 5 kop., zapisane było w księdze 30 kop.

Pewnego razu gospodarz, będąc w sklepie, zauważył wśród kupujących człowieka, który się skarżył na ból w krzyżu. Słyszając to zaproponował mu lekarstwo i kazał odważyć złotnik ostrej wódki, za którą kupujący chętnie zapłacił 25 kop. i otrzymał radę, po ile kropel ma

brać na każdy kieliszek wódki. Drugim znowu razem zobaczył kupującego, chorego na zapalenie oczu, i wpakował mu kawałek glicerynowego mydła za 40 kop., radząc, by chory przemywał niem oczy. Po odejściu kupujących zwracał się do mnie i mówił: „Widzisz pan, jak trzeba handlować; to i panu przydać się może“.—Podziękowałem mu za naukę i oświadczyłem, że z pewnością korzystać z niej nie będę. — „A toż dlaczego? Wszak tylko handel może panu zabezpieczyć życie i starość“. „Wiesz co, Abram Pawłowicz, — odrzekłem mu, — lepiej pójść do Gurika, to Polaczek, herszt szulerów, postawić u niego na kartę 12 rb., to tylko tyle zaryzykujesz. A mnie to dziwi, że pan, mając przeszło dwieście tysięcy kapitału tak ryzykujesz. Wszak w mydle może być chociażby odrobina sublimatu, i myjąc niem oczy, można się narażić na pęknięcie białka. A jeśli człowiek oślepie i zrobią protokuł, to ile tysięcy może pana kosztować taka sprawa? To samo zaś może się stać z kwasem siarczanym. Wszak to straszna trucizna, której i w aptekach nie dają bez recepty, a pan to zalecasz choremu“. Zreflektował się mój pan Ostrowski i sam rozbił butelkę z kwasem, a mydło kazał sprzedawać po 5 kop.

Tak upłynął rok. Skontrolowałem sklep, poczem okazało się, że nadwyżki było 400 rb., z czego dostałem 150 i 500 rb. pensji. Podziękowawszy następnie za służbę, pomimo, że mi Ostrowski zaproponował 1000 rb. pensji, wyjechałem do Irkucka. Tak skończyła się pierwsza połowa mego wygnania.

Jeśli w rozmowie zdarzyło mi się zapytać któregoś z wygnańców, jak został zasądzony, zawsze słyszałem tę samą odpowiedź: „Na wieczne osiedlenie.“ Dłaczego dodawali to „wieczne“, nie wiem, — ale faktycznie mała tylko garstka wróciła do kraju, chociaż z pewnością wszyscy mieli do tego prawo. Jest to fakt godny uwagi. Zdawałoby się, że sam wyraz „wieczne osiedlenie“ hipnotyzował ludzi. Z mojej gminy Ilgińskiej wyjechało trzech nas tylko. Wróciliśmy do kraju, ja i Bo-

gucki, a trzeci Henryk Rudnicki z Wołynia, młody, inteligentny człowiek, dotarł do Irkucka i tu na swą zgubę spotkawszy się z panną Selwińską, która tu świeżo przybyła z Warszawy do ojca, zakochał się w niej i ożenił. Kiedy zaś w czasie wesela panna młoda znikła, mąż poszedł jej szukać i gdzieś w odległym pokoju znalazł ją na małżeńskim łożu z rodzonym ojcem. Biedny Rudnicki tak to wziął do serca, że się otruił alkoholem.

Selwińskich na wygnaniu było dwóch braci, obaj rzeźnicy z Warszawy. Jeden z nich ożenił się z sybiraczką i zostawił potomstwo, o którym była mowa wyżej. Obaj uprawiali zawzięcie szulerkę.

Krytyczny przegląd „Pamiętników Apolinarego Świętorzeckiego, wygnańca 1863 r.“, napisanych ze słów jego przez p. Zofję Kowalewską.

Przypadkowo wpadły mi w rękę wspomnienia wygnańca z 1863 roku, Apolinarego Świętorzeckiego, napisane ze słów jego przez p. Zofję Kowalewską w 1911 roku. Rzuciłem się skwapliwie do ich czytania, myśląc, że znajdę tam wspomnienia przeżytych wypadków, tembardziej, że z Apolinarym Świętorzeckim odbyłem podróż od Mińska aż do Irkucka, i wszystkie dzieje tej podróży, również, jak i 40-letnia pielgrzymka moja po całej Syberji, dobrze tkwią mi w pamięci. Niestety jednak znalazłem tam li tylko okropną przesadę, pełną egzaltacji, dochodzącej do przekręcania faktów... Nie dziwię się temu, gdyż znam dobrze przyczynę tego. Ale społeczność nasza, czytając te wspomnienia czasów przeżytych, dać im może pewną wiarę i patrzeć będzie na wspomnienia, jak na kronikę historyczną...

Chciałbym bardzo, aby mi ktokolwiek wytłumaczył, czy jest rzeczą niezbędną, mówiąc o polskich wygnańcach, ukrywać świętą prawdę, w zbrodni widzieć heroizm, w przekroczeniu moralnych zasad swawolę i t. d.

P. Świętorzecki znał mię dobrze nietylko z podróży i z Tiumentia, gdzie przez 6 tygodni staliśmy na jednej kwaterze, lecz z czasów pobytu w Telmie, odległej od Usola o 5 wiorst, skąd prawie co tydzień latem chodziłem do Telmy i do Holcendorfa. Mimo to poniewiera moje

nazwisko i wbrew prawdzie wspomina (stron. 73—75), że siedziałem z nim razem w Mińsku w klasztorze Bernardynek, że sądzony byłem „na posielenje“ i że razem z nim i Nowickim wysłuchałem „konfirmasię generał-gubernatora Kaufmana...“

W istocie siedziałem w klasztorze Bernardynów, gdzie prezesem komisji śledczej był słynny w owe czasy pułkownik żandarmerji Łosiew. Każdy przyzna, że, jako byłego podchorążego wojsk rosyjskich, nie można było mię tak łatwo skazać „na posielenje“. Inkryminowano mi nietylko udział w powstaniu, ile dezercję i zdradę, co, według praw wojennych, karze się śmiercią. A konfirmował mię nie Kaufman, lecz generał Potapow. Nie mógł konfirmować Kaufman i Świętorzeckiego, gdyż podczas naszego razem przejazdu przez Wilno Kaufmana tam jeszcze nie było.

Tak więc poszedłem do robót.

Pierwszym jednak manifestem w maju 1866 r. termin robót skrócono mi o połowę, a osądzonym mniej, niż na 5 lat, dano swobodę, t. j. „posielenje“. Przebyłem tedy w robotach lat pięć i kielich tego męczeństwa wypilem do dna, zawdzięczając awanturze zabajkalskiej, gdyż wysłany po ogłoszeniu manifestu wraz z innymi na stację Miszychę, byłem świadkiem tej awantury.

Nie będę tu powtarzał historii tego powstania, gdyż pisałem już o tem w pamiętnikach... Krótko i jasno opowiedziałem tam i ową awanturę i sprawę Ejchmillera, nie zaś Tomaszewskiego, jak to pisze Świętorzecki.

Teodor Tomaszewski, puszkarz, pracujący przed powstaniem w fabryce broni Bekiera w Warszawie, został zesłany nie za zamach na namiestnika Berga, lecz za zrobienie bomby, i prawdopodobnie do dziś-dnia żyje on w Warszawie. Przynajmniej przed kilku laty podczas mego tam pobytu mówiono mi, że Tomaszewski mieszka przy swym zięciu, introligatorze. Wreszcie w książce Świętorzeckiego, zawierającej wspomnienia, między podobiz-

nami innych wygnańców znajduje się fotografia Tomaszewskiego, jako staruszka, a takim nie mógł on być już w 1868 r.

Wspomnienia Świętorzeckiego osnute są na podaniu. P. Kowalewska pisała to, co opowiadał Świętorzecki, sam zaś słyszał on to od drugich. Stąd tyle błędów i mijań się z prawdą w sprawach zabajkalskiej i Ejchmillera, będących głównymi tematami pamiętników, gdyż inne opowiadania są bajeczne i nie mają historycznego znaczenia. A że te opowiadania Świętorzeckiego są bajeczką, osnutą niby na tle realnie przeżytych wypadków, to fakt, i chyba z tem mojem zdaniem zgodzi się każdy, zważywszy sprzeczności, jakie w nich jeszcze wskażę. Osnute są one na tle romantycznym, romansowem, a pisane pod wpływem smutku, ogarniającego autora po szeregu przejść z narzeczoną, i mogą posiadać pewną wartość psychologiczną, ale nie historyczną.

Dla wyjaśnienia tego, cytuję tu właśnie zeznanie autora (str. 110).

„Rogalewicz, z natury hulaka, fetował nas szczerze, polewając suto szampanem¹⁾ wszystkie delikatesy sybirskie“ (str. 245). Wprawdzie po ciosie (po wyjściu zamąż narzeczonej), jaki mię dotknął, pić się tu nauczyłem, ale duszy pokryć się obcym kamieniem nie dałem“. Tu mogę oświadczyć, że talent ten Świętorzecki przywiózł już z sobą z kraju, a w Syberji tylko go udoskonalił; już zaraz po wyjeździe z Mińska często mu jedna butelka na dzień nie starczała. Grudziński zaś, o którym Świętorzecki tak mile wspomina, był w istocie bardzo marną postacią i tylko podchlebiał Świętorzeckiemu, oraz dostarczał mu tej trucizny. W czasie swej bytności w Telmie Świętorzecki za poręczeniem garbarza Holcendorfa, otrzymał posadę rachmistrza i pobierał 50 rb. miesięcznie, podczas, gdy Holcendorf pobierał 150 rb. Otóż dla obydwuch trzeba było $\frac{1}{4}$ wiadra wódki dziennie, co miesięcznie

¹⁾ Szampan ten był z gorzelnii Poklewskiego.

kosztowało 90 rb. Po roku takiego życia Holcendorf spostrzegł się, że, prócz długów, nic niema, że pracuje prawie darmo, wprawiając się tylko do pijaństwa i że Świętorzecki jest dlań ciężarem. Od tej pory zaczęli się kłócić z sobą i unikać wzajemnie. Wreszcie Świętorzecki musiał porzucić Telmę i pojechał do Irkucka, gdzie, dzięki wstawieniu się za nim doktora Świdy, dostał obowiązek niby felczera w kopalniach złota Kataszewcowa. Tutaj mimowolnie nasuwa się pytanie: czy, trując się tyle czasu alkoholem, można posiadać zdrowe „refleksy mózgu?“

Dlatego to pamiętniki Świętorzeckiego „narodziły się“ w 40 lat po powrocie jego do kraju, a pisane są z wyrachowaniem, że matka-ziemia pochłonęła już świadków, którzy napewno wystąpiliby z protestem przeciw zawartej w nich krzyżującej nieprawdzie.

Do jakiegoż fatalnego zбочenia umysłu doszło, kiedy tak mizerne i mikczemne stanowisko, jak aresztanckiego starosty, mogło być lechtac miłość własną Świętorzeckiego. I nie koniec na tem, że chełpił się on tem miłym stanowiskiem, ale wystawił siebie za takiego działacza, przed którym nawet władze ulegały. Tak na str. 99 wśród mnóstwa niderzeczności mówi: „Partja moja wzrosła ogromnie. Zorganizowawszy ją należycie, zawiadomiłem władze o dniu wyjścia“. Sądzę, że takie i podobne absurdy nie potrzebują objaśnień. — A zerwanie sukien na dworcu petersburskim przez panią Etlingier i inne, czyż to nie czysty absurd? więc pani Etlingier z generał-gubernatorem księciem Suworowem pojechała przez miasto w jednej spodnicy? — A spotkanie Świętorzeckiego w Tobolsku przez gubernatora Despot-Zenowicza z listami do niego?... Jakkolwiek Despot-Zenowicz był człowiekiem bardzo liberalnym, ale napewno listów nikomu nie roznosił. Przytem — skąd kto mógł wiedzieć, że w tej mianowicie partji, czy na tym statku przybędzie Świętorzecki? Wszak nasze spisy zesłańców i inne o nas dokumenty szły jednocześnie z nami, a wiózł je na-

czelnik konwoju, i jedynie po otrzymaniu tych spisów gubernator mógł się dowiedzieć, kto jest w partji. Manje wielkości okazywał Świętorzecki już od początku wygnania, ale żeby się ona tak w nim rozwinęła, trudno wprost wierzyć. A wieszanie Świętorzeckiego w Bobrujsku, jako króla polskiego (str. 64—66)? Chociażby, nie wiem jak daleko posunięty był terror za czasów Murawjewa, jednak formy zachowywano zawsze i bez sądu żaden z powstańców na tamten świat nie był posłany, jak również nikt administracyjnie praw nie był pozbawiony,—nareszcie wyroków nigdy nie wypełniali żandarmi. Skądże wziął się w Bobrujsku pułkownik-żandarm Reichard, który był prezesem komisji śledczej w Mińsku u Bernardynek? wszak wówczas drogi żelaznej nie było jeszcze i w jeden dzień przybyć tu nie mógł, a ponieważ Świętorzecki wysłany był z Tambowa do Mińska pod konwojem żandarmów, więc w drodze nikt go zastrzymać i niepokoić nie mógł.

Nie pamiętam, czy istotnie Świętorzecki przebywał w Petersburgu, jak pisze o tem,—nie pamiętam go także i w Moskwie, — ale dobrze pamiętam, iż z Niżniego-Nowgorodu szliśmy razem w jednej partji aż do Irkucka, i starostą naszym był ciągle Bolesław Świda. Od Niżniego do Tiumentia nikt w drodze nie umarł, — żadnych krzyżów po drodze nikt nie widział, bo jechaliśmy rzeką Kamą po lodzie, i tylko o wiorstę lub dwie najwyżej przed etapem zjeżdżaliśmy na brzeg; zresztą, czy możebnem byłoby przy 40° R., gdy ziemia twarda była jak kamień, kopać na drodze mogiłę; przytem i naczelnik etapowy, przyjmując nas pod liczbą, musiał tak samo zdawać drugiemu, a w razie nagłej śmierci aresztanta obowiązany był dostawić nieboszczyka do pierwszego po drodze miasta powiatowego, a zostawiwszy go w miejscowym szpitalu, wziąć odpowiednie pokwitowanie (między Kazaniem a Permą było po naszej drodze pięć miast powiatowych).

Ale p. Świętorzeckiemu nie wystarcza takie samowychwalstwo: wyliczył zasługi przed krajem całej swej rodziny (naszi predki Rim spasli) i brata Rodryga skazał na całe życie ciężkich robót, chociaż był on po pierwszym manifeście uwolniony i skazany tylko na „posielenje“,—znaczy, że był skazany mniej, niż na 5 lat. Rodryga spotykałem w Irkucku jeszcze w r. 1888; służył w wydziale górniczym głównego zarządu Syberji wschodniej,—pracował przy asygnatach na spławiane w sztaby złoto i miał się dobrze. Zwykle balsamował się, choć mniej, niż Apolinary. Czy wrócił do kraju, tego nie wiem.

Nie mogę przemilczeć i opowiadania Świętorzeckiego o podkupowaniu oficerów etapowych, to pieniędzmi, to prezentami z odzieży aresztanckiej. Jest to fama, rzucana najniesłuszniej, — bo przedewszystkiem nikt żadnych pieniędzy na to nie dawał, a sam Świętorzecki miał tyle, ile każdy z nas,—co zaś do prezentów z uniformu aresztanckiego, to można sobie wyobrazić, jakieby te prezenty wywołały spojrzenia.

Słowem, pominąwszy pierwszą część wspomnień, jako mi nieznaną i ostatnią, stanowiącą całą wartość tych opowiadań, reszta zasługuje na uwagę mniej, niż opowiadania Szecherezady. Należy tylko zastanowić się i ocenić krytycznie każdy frazes, każdy rozdział, a wnet zauważy się sprzeczności.

Dla przykładu biorę str. 78. Mówi tam Świętorzecki, że „karmowych“ dawano nam, uprzywilejowanym, po 15 kop., a nieuprzywilejowanym po 4 kop. dziennie; — na str. zaś 89 wzmiankuje, że pierwszym dawano po 15 kop., a drugim po 10 kop. Któreż z tych dwóch twierdzeń prawdziwe?—Str. 83: „Z biegiem lat dali one mazury początek mleczarstwu w Syberji, gdzie dotąd gałęź ta wcale uprawianą nie była“. A na str. 122 mówi: „Poważne pastwiska, podnosząc wydajność mleka, rozwinęły produkcję masła na ogromną skalę. Tomskie to-

pione masło, bo innego w handlu niema, słynące na całą Syberję, cieszyło się ogromnym popytem i stanowiło w ekonomicznym budżecie tej krainy poważną gałęź handlową“. To było podczas naszego przejazdu przez Tomsk; znaczy, że i bez Polaków przemysł ten był szeroko już rozwinięty; czegoż więc mazury Świętorzeckiego nauczyli Sybiraków, gdy i sami topionego masła robić nie umieli?—Co zaś do okradzenia Świętorzeckiego w Kazaniu (str. 113), to i tu jest jakaś niedorzeczność, bo Wernicki, student uniwersytetu kijowskiego, zemknął z Niżniego Nowgorodu, schodząc z wagonu, przebrany za konduktora, więc w Kazaniu być nie mógł,—a Onichimowski (nie „Jachimowski“, jak go nazywa Świętorzecki), farmaceuta z gub. Witebskiej, w owej chwili, gdy kradzież jakoby miała miejsce, spał obok Świętorzeckiego, który grał w karty, a zbudzili go i rewidowali ulubione mazury, które wozily obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Nawiasem mówiąc, obrazu tego nikt, prócz Świętorzeckiego, nie widział. Onichimowski długi czas owego gwałtu zapomnieć nie mógł.

W końcu kilka słów o geograficznych i etnograficznych niedorzecznościach.

U Świętorzeckiego góry Ałtajskie, które ciągną się na pograniczu Syberji zachodniej przez powiaty Bijski i Barnaulski, przeniesione są do Syberji wschodniej nad Lenę (str. 187 i 190).—Rzeka Selenga, która bierze początek w Mongolji, w pobliżu Kiachty, i płynie przez miasto Selengińsk w obwodzie Zabajkalskim, a wlewa swe ogromne wody do Bajkału na wschodnim brzegu, przeniesiona została do Irkucka, jako dopływ Angary, wpływający też niby z Bajkału, i mętne swe wody łączący z kryształowemi wodami Angary w Irkucku. — Ostiaki, których odwiecznym koczowiskiem są niziny rzeki Ob, u Świętorzeckiego znaleźli się na rzece Lenie. Co do dzikich Tubulców (str. 120 i 193), to o takich Sy-

berja nigdy nie słyszała i nie ma o nich najmniejszego wyobrażenia; są oni wymysłem chorej wyobraźni Świętorzeckiego.

*

* *

Znacznie uboższa umysłowo część polskich wygnańców, dla wysunięcia swego eks-patriotyzmu i zasług na wystawę przed ogółem i dla pociechy własnej, wymyśliła trzy terminy, trzy określenia: „szpieg“, „zdrajca“ lub „śpiewak“. I nie daj Boże, jeśli komukolwiek przypięto choć jeden z tych epitetów; był to już wyrok na śmierć męczeńską! i istotnie czyniono zamachy na tych nieszczęśliwych¹⁾. Nie wiem, czy może być większa nielogiczność, większy absurd, niż podobne obwinianie. Że stało się ono kodeksem u mazurów, to nic dziwnego,—ale że Świętorzecki, podnosząc swój patriotyzm, pozwolił sobie ciskać kamieniem na wymaginowane przez nich ofiary, w to wprost nie chce się wierzyć. Wszak sam on w swych wspomnieniach mówi (str. 9. II): „Tymczasem w kraju głowy poważniejsze wiązały starannie sieć organizacyjną. Była ona tak miernie spleciona, iż każdy wchodzący do organizacji, nic o jej dalszych niciach i ogniach nie wiedział,—znał tylko tego, kto go wprowadzał, i z nim jednym miał na razie styczność“.—Jeśli tak było istotnie, to nikt nie mógł wydać więcej ponad jednego towarzysza i tylko ów wydany mógł mieć urazę do swego krzywdziciela,—więc jakież może mieć prawo rzucać na niego kamieniem każdy, komu się spodoba?—wszak od takiego wydania ogólna sprawa żadnego szwanku nie poniosła! Jeśli zaś kto wydawał drugiego, którego sam wprowadził do organizacji, to już przez to samo wydawał siebie. Słowem sybjekt—winowajca zawsze się znajdował

¹⁾ W pamiętnikach moich wspomniałem o jednym takim zamachu w Tiumeniu na Genjusza.

między wygnańcami, a obiektu winy nikt nigdy nie widział i wskazać nie mógł.

Nie zważając na tę prostą zasadę, ofiary tego wymysłu nieśli krzyż męczeństwa. Dla ilustracji biorę Miładowskiego, byłego naczelnika powstania nowogródzkiego.

Człowiek lat pod 30, ukończył akademię wojenną, — człowiek, któremu uśmiechała się świetna karjera, a który jednak wszystko złożył na ołtarzu ojczyzny, został zesłany na długie lata do robót ciężkich, — i oto na wygnaniu przylepiono mu miano „śpiewaka“. Kogo wydał, kogo zdradził, nikt o tem, nie wyłączając surowych jego sędziów, nie wiedział, pomimo to jednak nic nie pomogły starania wielu towarzyszków, aby opinię tę od Miładowskiego odwrócić, i nieszczęśliwy stał się obiektem mazurskiej zabawy. W następstwie tego podczas pobytu w Irkucku w kazamatach, zwanych „kazionną pałatą“, towarzysze wyrzucili Miładowskiego z kamer i zabronili drugim przyjmować go do siebie (ogół — była to siła). Nieszczęśliwy znalazł sobie jakąś dziurę pod schodami i tam się ulokował. Ale żaden z tych patriotów, którzy w późniejszych czasach dość rychło zapełniali sobą kadry zbrodniarzy i szli już jako bryganci na Sachalin, nie przeszedł mimo owej dziury, by nie wykrzyknąć: „szpieg-zdrajca!“ Nieszczęśliwy nie wytrzymał: zwrócił się ostatecznie. Ale i w tym stanie nie przestano go prześladować, aż wreszcie władze ulokowały go w domu warjatów, gdzie nieszczęśliwy prędko zakończył swe męczeńskie życie.

Chciałbym wiedzieć, jakby się zachowali owi groźni sędziowie, owe en nature katy, gdyby postawiono im taki krótki dylemat: „albo mów prawdę, albo idź na szubienicę“, — którą drogę wybrałiby?

Zresztą, że takie zwierzęta w postaci ludzkiej nie mogą pojąć psychicznego stanu delikwenta, to nie dziw. Ale, że Świętorzecki, student medycyny 4 kursu, należący

do inteligencji, mógł naśladować mazurów i dla podniesienia siebie brukać w niczem niewinne potomstwo (bo sami działacze, i gdyby nawet istotnie w czem zawinili, są już na sądzie Bożym) i komponować niebywałe fakta, to najzupełniej temubym nie wierzył, gdyby przede mną nie leżała książka jego wspomnień.

Tak np. (na str. 114 i 115) opowiada wypadek skandaliczny, uczynionego w Tobolsku na parostatku panu K—wi i pani T—skiej. Jest to oczywisty wymysł autora. Najprzód pan K—c nigdy nie siedział w więzieniu nowogródzkim; po aresztowaniu odwieziono go wrpóst do Wilna i stamtąd do Cywilska (gub. Kazańskiej), i w Tobolsku nigdy być nie mógł. Po roku wrócił do kraju, o czem wiedzą wszyscy starzy Nowogródzianie. Wskazany zaś wybuch gniewu i oburzenia „Nowogródzian“, Wojsiatycza, Hryniewieckiego i Ponseta jest również wierutną nieprawdą, ponieważ wymienieni tu nie byli wcale Nowogródzianami: Wojsiatycz był to obywatel z Sokółki (gub. Grodzień.), Hryniewiecki — technik, rodem także z Sokółki, długi czas zarządzał cukrownią Brannickich w gub. Kijowskiej, wreszcie doktor Ponset de Sandon był synem nauczyciela języka francuskiego ze Słucka. Żaden z nich nie miał nawet wyobrażenia o p.p. K. i T., a z Nowogródzian na statku byłem tylko ja i doktor Nowodworski, upewniam zaś, że w Tobolsku żadnych skandalów nie było.

Mógłby kto obwinić mnie o pesymizm, ale na to mogę odpowiedzieć, że słowa moje zgodne są najzupełniej z opiniami i wiadomościami mnóstwa inteligentnych wygnańców. Przytoczę tu jeden charakterystyczny epizod z czasów mego pobytu na wygnaniu w gminie Iłgińskiej nad rzeką Leną. Był tam między nami niejaki Henryk Rudnicki z Wołynia; chłopak młody i bardzo dowcipny. Otóż razu jednego do wsi, gdzieśmy mieszkali, przyjechał sprawnik wercholeński, Strojew. Wiara nasza, jak zwykle, rzuciła się do niego z rozmaitemi prośbami, a

wśród wielu innych niejaki Guzik, wygnaniec polityczny i herszt zorganizowanej we wsi dobrej koterji szulerów, chciał prosić sprawnika o wydanie mu zasiłku pieniężnego (o tych zasiłkach opowiem niżej), ale nie umiejąc ani czytać, ani pisać po rosyjsku zwrócił się do owego Rudnickiego o napisanie mu prośby, co ten chętnie mu uczynił i napisał ze wszystkimi formalnościami następującą prośbę (tłumacząc dosłownie): „Z cywilizowanej europejskiej ziemi, dla oświecenia nawpół dzikiego ludu syberyjskiego, przynieśliśmy tu niemałą dozę szarlataństwa i zarazem udoskonaloną grę w karty, ze sprytnego użycia której czerpiemy siakie-takie środki egzystencji. Dlatego to prosimy, czy nie znalazłbyś pan możliwe wyznaczyć w pobliżu kabaku lub składu wódczanego jakakolwiek choćby bez pieca, ogólną kwaterę dla naszego wciąż powiększającego się kółka“. Prośba ta, podpisana i zapieczętowana oficjalnie, odesłana została do gminnego zarządu i napewno do dziś-dnia spoczywa w archiwum, jak i bardzo wiele podobnych. Być może, iż kiedyś historyk wyciągnie je na świat, jako dowody, świadczące o naszych dziejach i o niesprawiedliwości Świętorzeckiego.

Jakkolwiek ów figiel Rudnickiego był nie na miejscu, ale w gruncie opierał się na czystej prawdzie. Istotnie osiedleńcom, którzy chcieli brać się do rolnictwa, wydawano po 100 rb. zasiłku, ale z zasiłków tych najwięcej korzystali Guziki. Źródło tak owych zasiłków, jak i całego wogóle utrzymania wygnańców politycznych w drodze i na miejscach, było bardzo bolesne i smutne, bo fundusze te pochodziły z kontrybucji naszego nieszczęśliwego kraju. I w owej chwili, gdy owe storubłówki w Syberji podkładane były przez Guzików pod kartę, w naszym kraju niejeden ziemianin dla zdobycia tej stówki pozbywał się całego miana i ostatniego kawałka chleba.

W pamiętnikach moich wspominałem, jakim nadużyciom miejscowej administracji ulegały sumy, przezna-

zione na utrzymanie politycznych wygnańców i na ówczesną kolonizację Amuru. Hojna administracja, chcąc przykryć swe nadużycia i wyjść jeszcze z tego z tryumfem, nietylko nie stłumiła w zarodku, mając możliwość, wybuchu awantury zabajkalskiej, ale ją tolerowała. Świętorzecki pisze, że władze przewąchały tę awanturę. POCO tu było wahać, kiedy większość wygnańców, nie chcąc należeć do awantury, zagrożona przez awanturników nocą Ś-go Bartłomieja, komunikowała o wszystkim policmajstrowi irkuckiemu Dumańskiemu, błagając o ocalenie. (Zostaliśmy za to „zdrajcami“). Za wszystkie popalone i ograbione na drodze bajkalskiej stacje, za transportowanie wojsk etc. sowicie zapłacił nasz nieszczęśliwy kraj. A tymczasem Świętorzecki mówi (str. 173), że pieniądze, przysyłane z kraju obwinionym zabajkalcom były konfiskowane na pokrycie rozchodów, i że pieniędzy tych zebrało się około dwuchset tysięcy rubli¹⁾.

Nie zważając na to, Świętorzecki, obywatel naszego kraju, pan na wielkich Krzywiczach, pracując przy kopalniach złota i pobierając najmniej 1500 r. rocznie, przy bezpłatnem mieszkaniu i posłudze, nie mógł zaoszczędzić kilkuset rubli na powrót do kraju z racji podtrzymania stosunków w tajdze (pustyni), a potrzebuje od skarbu niby „prohonów“ (str. 246).

Wszystkie opowiadania o taczkach, ciężkich robotach i rozpaczy i t. d.—to wymysł i fałsz, wierutna blaga i nic więcej. Między osiedleńcami i skazanymi do ciężkich robót była tylko ta różnica, iż pierwsi po przybyciu na miejsca lokowani byli po wsiach i mieli swobodę choć w swej gubernji, podczas, gdy skazanych na roboty trzymano pod zamkiem w koszarach. A dla inteligentnego człowieka koszarowe życie w istocie było cięższe,

¹⁾ Jabym z wielką trudnością zgodził się przyznać, że tej hołocie mogło być posłane ogółem 200 rb.

niż wszelkie roboty, ogół zaś, t. j. większość, była to hałstra, awanturnicy, którzy zatruwali cały spokój i czynili innym życie męczeńskim. Że politycznych wygnańców nie używano do żadnych ciężkich robót, to fakt ogólny, bo nerozyńskie kopalnie srebra nie były już czynne od dziesiątków lat przed naszym przyjściem, t. j. od czasu jak złota gorączka opanowała nawet i rząd. Ponieważ zaś w kopalniach tych (jak Aleksandrowsk, Kliczka, Algacza i Akatuja) były rozmaite rządowe zabudowania, więc odnawiano je i lokowano tam wygnańców politycznych. Z fabryk czynnych było tylko jedno Usolje, gdzie działało 12 solnych wurnic; tam zsyłano najwięcej polskiej inteligencji, i jeśli używano wygnańców do robót, to wszelako nie do fabrycznych, lecz np. do grabienia siana, urządzania spacerowego ogrodu, sadzenia kwiatów i t. p. Mieszkając zaś w koszarach, pracowali na własną rękę i korzyść. Wszyscy rzemieślnicy zawaleni byli obstalunkami, i to nieźle nawet popłatnymi; zarobić kilka rubli w dzień nie było dla rzemieślnika trudnem, a nie-rzemieślnik, gdy tylko chciał, mógł z łatwością zarobić rubla. Więc ani rozpaczy, ani nędzy wśród porządnych i pracowitych być nie mogło. Obchodzono się z nami jak najgrzeczniej, najlojalniej, aż póki jaka awantura nie oburzyła władzy.

A na awanturach nie zbywało. Wszak sam Świętorzecki, idealizując tak wygnańców, opisuje wypadek zamordowania Proniewicza (str. 180). Takich zaś wypadków były seciny. W koszarach najbardziej zatruwali nam życie pijacy, awanturnicy i tak zwani „żandarmi“ z Królestwa. Gdy nadchodziła noc i zamek zbierał nas pod swą opiekę, to zwykle zaczynała się wystawa patriotyzmu: bójka i wykrzyki: „A coś ty, psia krew! ja na własnych plecach powiesiłem szesnastu chochłów (Moskali)“. A drugi np. wiedzie takie miłe opowiadanie: „W gubernji Suwalskiej, w jakiejś wsi podejrzewając jakąś kobietę o szpiegostwo, przywiązał ją za ręce i nogi

między dwoma drzewami, a ukrećwiwszy z brzozonej kory rurki, pozatykał je w nos, usta, uszy i płciowe części i następnie zapalił i t. d.“ Takim z natury katom zdawało się, że swem dzikiem postępowaniem położyli dla ojczyzny nieocenione zasługi, że są największymi patriotami i że tylko oni jedni mają prawo głosu wynagrodzenia i rządzenia innymi, nie tak „zasłużonymi“, jak oni. I z takimi to osobnikami trzeba było obcować, ulegać ich woli, bo oni właśnie stanowili większość i lada za co, wedle ich wyrażenia sprawiali towarzyszom „łanie“, t. j. chociażby najinteligentniejszego człowieka bili na kwaśne jabłko. Oto, gdzie była istna „katorga“ i jedyne nasze ciężkie roboty.

O koszarowem życiu można byłoby napisać całe tomy, ale, niestety, w bardzo smutnych barwach. Awantura zabajkalska i sprawa Ejchmillerera (nie zaś Tomaszewskiego) opisane już zostały w moich pamiętnikach, a podane o nich przez Świętorzeckiego wiadomości są od A do Z wierutną bajką, więc mówić tu o tych rzeczach nie będę. Czuję się tylko w obowiązku zaprotestować na tem miejscu przeciw tak nierozważnie, a tak nieuczciwie narzuconej na lud burjacki obeldze. Żadnych mordów, żadnych nieludzkich ekscesów Burjaci nie popełnili nad Polakami, jest to lud, który ma dobrą przyszłość przed sobą, gdyż pełen jest narodowego żywiołu; są to nie zepsute jeszcze dzieci szczerzej natury. Przez 13 lat mego pobytu w Czycie, głównem siedlisku Burjatów, nigdy nie słyszałem o jakimbądź kryminalnym występku, popełnionym przez Burjata, nigdy nie widziałem aresztanta z tego ludu. A że chwyтали oni i przywozili wyszłych ku nim zabajkalskich powstańców, to niema w tem żadnej ich winy, bo tak im władze nakazały. Nie zamordowali wszakże ani jednego, i wszyscy powstańcy, prócz 16, zabitych około Miszychy podczas batalji, i 13 zmarłych od ran i amputacji d-ra Krasickiego, według spisów po wojaczece byli pod sądem w Irkucku.

Wracając w 1903 r. z Syberji do kraju, zatrzymałem się w hotelu w Stretiensku na Amurze dla wypoczynku. Hotel ten trzymał znany mi wygnaniec, Mikulicz, człowiek już stary, otoczony sporą rodziną. Syn jego, ukończywszy w Czycie gimnazjum, wziął się do buterbrodów i kieliszków w bufecie hotelowym i wogóle zarządzał hotelem. Mikulicz, prócz rozwiniętego i świetnie prosperującego interesu, miał w banku złożonych 40 tysięcy. Na moje zapytanie, dlaczego nie wraca do kraju, odpowiedział: „A co ja tam miałem? Tu przynajmniej żyję wygodnie i spokojnie“.

Po powrocie do kraju, około trzech lat temu, pojechałem pewnego razu w styczniu do miasta. Po powrocie spotyka mię w ganku żona i mówi, że z Łopusznej, majątku p. Jodki (był on wówczas za granicą), przywieźli jakiegoś wygnańca, który zna jej ojca i mnie. Ale Boże, jakież to nieszczęśliwy człowiek!—dodała:—obszarpany, zziębnięty, ledwie się odegrzał. Kazałam napalić w łaźni i dałam mu bieliznę“.

Wszedłem do pokoju i ujrzałem staruszką z zupełnie łysą głową, z przebitym nosem, w letnim obszarpanym paltocie i zupełnie dziurawych kamaszach, przez które świeciły gołe palce nóg. Popatrzył na mnie i rzekł: „Nie, to nie ten: znałem w Nerczyńsku Czernika, ale tamten inny; to nie pan“. Odrazu widziałem, że kłamie, bo wiem dobrze, że nikogo o tem samym nazwisku między wygnańcami nie było. Dalej z rozmowy wyjaśniło się, że pochodzi on z gubernji Augustowskiej, nazywa się Karpowicz i jest mechanikiem oraz snycerzem,— i że go z Syberji przywiózł Laudyn, także wygnaniec, i że przedtem był u Obuchowicza, ale z powodu swarliwej żony jego nie mógł tam dłużej pozostawać.

Przedewszystkiem musieliśmy mu sprawić odzież, a po niejakiś czasie zaczął mi kłaść w uszy, że bez roboty tak żyć nie może, że gdyby mu dać tylko warsztat i narzędzia, to będzie robił. Dałem mu tedy pieniędzy na

narzędzia i posłałem do Nowogródka, aby je kupił. Wrócił, jak się należy, sprawił wszystko dobrze i zaczął robić warsztat. I to zrobił porządnie. Po skończeniu proponuje mi, że zrobi do studni pompe. Wziął materiał, — znowu posłałem go kupić pręty i inne potrzebne rzeczy; wreszcie p. Karpowicz zrobił pompe. Powieźli ją do studni, przymocowali, — z parę godzin sam pompował i nie wydobył ani kropli wody. Pompa ta i do dziś leży w wozowni. Ale robiąc ją, dla okucia wiaderka chodził p. Karpowicz na wieś do kowala i wracał zawsze pijanutki. Skądś wreszcie dowiedział się, iż w miasteczku Dworen buduje się kościół, prosi mię więc, bym dał list do księdza z rekomendacją, bo chciałby zrobić dla tego kościoła ołtarz i t. d. Odpowiedziałem mu delikatnie, że z księdzem nie jestem znajomy. Nie zważając na to, atakuje mię kilka razy o ten list rekomendacyjny. Za każdym razem pod rozmaitymi pozorami odmawiałem mu. Nareszcie p. Karpowicz znika na parę dni, a wróciwszy pijany, pakuje się do mego gabinetu, gdzie siedziałem i czytałem gazety. Żona moja i syn, zauważywszy, że pijany Karpowicz wszedł do mnie, podeszli przez ciekawość pod drzwi, czego Karpowicz nie widział. Wszedłszy do mnie, podniesionym głosem zawołał: „Więc nie dasz mi listu do księdza!“ — i chwyciwszy mię za gardło, począł dusić. Wnet jednak do pokoju wpadła z krzykiem żona moja, a syn przeciągnął napastnika kijem przez plecy, — w ten sposób ledwom się wydostał z łap jego, poczem, ma się rozumieć, przepędziłem go z domu.

Takie to są żywe typy pozostałych w Syberji wygnańców, — gdyż Karpowicz wrócił do kraju wypadkowo, zawdzięczając Laudynowi, a Mikulicz najzupełniej zasymilował się z Sybirem.

Teraz może wolno mi będzie zapytać, za kogoż Świątorzecki, powołując się na ziemianina-publicystę, p. Jelskiego, podnosi głos, karcąc rodaków za nieczułość, zaniedbanie i t. p. weteranów wygnania 1863 r., ginących jakoby na północy? Wszak te poświęcenia się, te ofiary,

te niby dobrodziejstwa, czyż nie przyczyniły się do klęsk naszego kraju, który do dziś dnia boleśnie odczuwa skutki tego ruchu? Naco ta urządzona przez Świętorzeckiego wystawa nietylko własnego patriotyzmu, lecz i patriotyzmu tych, którzy w istocie nie warci miana Polaków (str. 133).

Zapewne niejeden, przeczytawszy opowiadanie Świętorzeckiego o wycieczce jego do Wilujska dla odwiedzenia Ohryzki, uwierzy święcie w prawdziwość tego faktu, również jak i innych zaszłych w tej podróży wypadków. Przypuszczam, że to nie stanowi żadnej, mającej jakiegokolwiek znaczenie kwestji. Ale co do mnie, to gotów jestem przysiąc, że fakt ten jest skomponowany, dla potwierdzenia czego przytaczam moje o tem kombinacje.

Sam Świętorzecki powiada (str. 203), że Tajurski, prosty chłop, prawie niepiśmienny, pobierał pensji 20,000 rubli rocznie. A więc mimowolne pytanie: za cóż to? Odpowiedź bardzo prosta: za to, że nie pił, nie grał w karty i pilnował interesów gospodarza. A jeśli tak, to czy mógł Tajurski posyłać Świętorzeckiego niby dla najęcia roboczych, tam, gdzie ich nigdy nie było, na szczerą pustynię, na tundrę? czy mógł ryzykować, że wplącze się w awanturę i wyrzuci na tę ekspedycję kilka tysięcy gospodarskich? Wszak wynajęcie sześciu nart (sanek), tyłuż kajurów (furmanów) i 12 par reniferów, dobrze mi wiadomo, co może kosztować. Że Jakutów do robót w kopalniach nie biorą, bo są słabi i nieudolni, to rzecz również wiadoma, i nawet obecnie, kto czyta gazety, ten może zauważyć z faktu strzelaniny do robotników w kopalniach leńskich za strejkowanie, że tam i teraz pracują robotnicy z Rosji i z południowej Syberji, a żadnego Jakuta tam niema; przytem zawsze najem robotników do kopalni odbywa się wiosną, przed samem otwarciem żeglugi, nie zaś zimową porą, gdyż inaczej wypadłoby darować robotnikom drugie zadatki, które wynoszą 50 do 100 rb., a nie po 3 rb., jak to dawał niby Świętorzecki.

Z Ohryzką poznałem się w Petersburgu jeszcze

przed powstaniem, a podczas mego pobytu w Irkucku od r. 1881 do 1888-go miałem z nim nawet wspólne interesy. Był to idealista czystej wody: zawsze marzył o szkołach, bibliotekach, o publicystyce w kraju, a dla uskutecznienia tego dążył w Syberji do z bogacenia się. Był Ohryzko w Irkucku u bogatej wdowy Popowej pełnomocnikiem, pobierał 3 tysiące rubli i miał przyzwoite mieszkanie. Był już blizki celu, bo posiadał kopalnie złota, oparte na stu akcjach, z których połowa należała do niego, a druga połowa do innych kompanjonów Polaków. Zgubiła go jednak łatwowierność, z powodu której wyzyskiwali go nawet wygnańcy. Dość było zjawić się u niego i zakomunikować, iż się znalazło bogate w złoto miejsce, a już kieska Ohryzki była do usług oszusta; wierzył każdemu.

Rysopis Ohryzki, podany przez Świętorzeckiego, nie odpowiada prawdzie. Był on średniego wzrostu, szczupły, ciemny szatyn, twarz miał śniadą i zarost tak marny, że prędzej można powiedzieć, że nie miał żadnego.

Czernyszewskiego spotykałem parę razy w okręgu wercholeńskim, gdzie po uwolnieniu osiedlony był w gminie Manzurskiej, obok mojej sybirskiej ojczyzny, — chociaż nie przebył tam i pół roku, gdyż dostał pozwolenie na wyjazd do Astrachania. Czernyszewski czynił na mnie wrażenie manjaka; był zawsze milczący, zamyślny i wyciągnąć go na rozmowę było niełatwo. Pierwej pracował w zakładach Aleksandrowskich razem z naszymi wygnańcami, ale gdy władze wykryły organizację jego ucieczki, odesłały go do Wilujska, gdzie się znajdował Ohryzko.

O Dworzaczku nie mam wyobrażenia; nigdy go nie spotykałem i nie słyszałem nawet o nim.

Ohryzko twierdził, że przez 4-letni przeszło pobyt jego w Wilujsku nie widział on ani jednej duszy ze strony; pilnowali ich żandarmi, którzy mieli swe mieszkanie obok więzienia. Żadne władze cywilne, prócz doktora, wstępu tam nie miały, doktor zaś bez żandarma wejść nie mógł, a rozmowy nie dotyczące się interesu, były przez

— 18 —

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	<i>Str.</i>
Przedmowa	5
I. Wyruszenie do powstania	7
II. Pochód pod Miłowidy. — Potyczka	11
III. Chatka w lesie. — Przeprawa. — Pobojuwisko. — Wyjście pod Krzywoszyn i nowe pobojuwisko. — Książ Łaszkiwicz	16
IV. Sąd i zesłanie	20
V. Zima w Irkucku. — Pomieszczenie w koszarach, zwanych „Kazioną pałatą“	28
VI. Ogłoszenie pierwszego manifestu. — Zesłanie na dro- gę Zabajkalską. — Wybuch buntu	30
VII. Historja buntu zabajkalskiego. — Pierwszy tryum- wirat	37
VIII. Sledztwo. — Sąd wojenny. — Konfirmacja. — Wy- rok i jego wykonanie	40
IX. Życie towarzyskie w Usolu. — Rodowa arystokra- cja. — Pani Joczowa	44
X. Sprawa Ejchmillera	48
XI. Księża	51
XII. Pokolenie polskie, pochodzące od małżeństw miesza- nych	54
XIII. Streszczenie	56
XIV. Osiedlenie	57
Krytyczny przegląd „Pamiętników Apolinarego Świętorzeckiego, wygnańca 1863 r.“	68

żandarmów wzbraniane. Więźniom dawano do czytania rosyjskie czasopisma. Kamer nie zamykano; więźniowie jedli i spacerowali wspólnie; mieli u żandarmów swoje pieniądze i mogli stosownie do woli ulepszać swój stół. Obchodzono się z nimi grzecznie i tytułowano „pan“ (pan Ohryzko, pan Czernyszewski i t. d.), nie zaś numerami, jak opowiada Świętorzecki.

Czernyszewski był literatem i publicystą, jak Ohryzko, — do żadnych partji nie należał i zachodził w głowę, zaco go wysłano. Zwolennicy Czernyszewskiego chcieli go wykraść i z Wilujska. W tym celu niejaki (podobno student) Łopatin, w przebraniu oficera żandarmskiego, zjawił się w Wilujsku z najformalniejszymi papierami i z rozkazem wydania mu Czernyszewskiego. Już prawie miało to dojść do skutku, gdy żandarmi zauważyli, że akselbanty pana oficera przypięte są nie na tej stronie, gdzie wskazywał przepis; stąd zrodziło się podejrzenie i zakomunikowano p. oficerowi, że pošlą sztafetę do Jakucka, a stamtąd telegraficznie zapytają o pozwolenie wydania Czernyszewskiego. Po tej odpowiedzi pan oficer znikł, a podejrzenie zmieniło się w pewność, iż był to podstęp, o czem zaraz dano znać do Irkucka, gdzie Łopatin przy wjeździe zaaresztowano.

Proszę teraz skonfrontować opowiadanie Świętorzeckiego. Chyba Ohryzko na czas wizyty jego przyczeplił sobie długą, siwą brodę, bo do samej śmierci w roku 1890 siwym jeszcze nie był; zawsze czynny, energiczny i środki do życia miał zabezpieczone, chociaż strata przez łatwowierność kopalni swoich i kompanjonów dużo wpłynęła na jego usposobienie i mogła być przyczyną przedwczesnej śmierci.

Nareszcie opowiadania Świętorzeckiego o spotykanych w tej słynnej podróży stadach niedźwiedzi, o napadzie na podróżników niedźwiedzia i stada wilków etc. etc. też należą do sfery bajek. Bo najpierw zwierzęta te przebywają tylko w średniej strefie, a na północy, na rubieży tundr, gdzie flora marna i przechodzi w karłowata,

ta, nie trzyma się też i tego rodzaju fauna; tam już królestwo lisów, zajęcy, białych kuropatw i psów stepowych, i gdyby były wilki i niedźwiedzie, to pewnoby Jakuci nie mogli utrzymać ogromnych stad reniferów, które z natury rzeczy stawałyby się łupem tych drapieżników. Świętorzecki, tyle naopowiadawszy o swym historycznym sztucerku i o swem myślistwie na Syberji, nawet nie wiedział, iż niedźwiedzie na zimę zasypiają i wówczas nigdy nie chodzą. Opowiedziane przez niego zwyczaje, tryb życia, pobór przez komisje „jasaku“ (podatek skórami) i t. p. nie odpowiadają prawdzie i rzeczywistości. Ponieważ zaś wyjaśniać to wszystko byłoby bezcelowem i nie na miejscu, więc interesującym się temi rzeczami zalecam śliczne i prawdziwe opisanie bytu Jakutów Sieroszewskiego pod tytułem „Na krańcach lasów“.

Na zakończenie tego pobieżnego przeglądu mogę tylko dodać, iż żałuję prawdziwie p. Kowalewskiej, która, jak widać, z tak czystem i szczerem sercem rozdmuchiwała popioły, które, niestety, zawsze zostaną popiołami, a oliwa zawsze wyjdzie na wierzch wody.

8-go lipca 1912 r.

Majątek Sadkow,

st. dr. żel. Poles. Nowogródek.

gub. Mińskiej.

